

MY Z WYŻYN

Portret własny mieszkańców

red. JANUSZ OLCZYK



Okladka tymczasowa, a treść ciągle uzupełniamy

MY Z WYŻYN

Portret własny mieszkańców

red. Janusz Olczyk

Natoliński Ośrodek Kultury
NOK

Warszawa – Ursynów - Natolin - Wyżyny
Listopad 2020 - ...

Ta publikacja nie jest finansowana z jakichkolwiek środków pochodzących z dotacji, grantów, darowizn itp. Powstaje nakładem pracy pracowników Natolińskiego Ośrodka Kultury w ramach pracy etatowej, jako forma działalności w czasach pandemii.

Spoza NOK współpracują z nami seniorzy – wolontariusze z Klubu Seniora „Wrzos”.

Redaktor merytoryczny i prowadzący projekt:
Janusz Olczyk

Konsultacja dziennikarska i adjustacja:
Helena Laskowska

Redaktor techniczny, projekt typograficzny:
Piotr Olczyk

Projekt okładki: /jeśli będzie wersja drukowana/?

Kopiowanie i rozpowszechnianie bez uzyskania zgody Redakcji jest zabronione.

Wydawca wersji internetowej:
Natoliński Ośrodek Kultury SM „Wyżyny”,
02-791 Warszawa, ul. Na Uboczu 3

Realizacja poligraficzna/internetowa:
Z wykorzystaniem możliwości sprzętowych NOK,
według koncepcji własnych.

Redakcja NOK, tel. 515 410 901

SPIS TREŚCI

WSTĘP

Janusz Olczyk. Słowo wstępne	5
Janusz Olczyk. Wprowadzenie autorskie	8
Przedmowa (w trakcie pisania)	

PORTRETY MIESZKAŃCÓW

Michał. Poszukiwacz na stanowiskach	10
Adam. Człowiek nie z kamienia	14
Stasinek. Człowiek, który czyta mapy	22
Ryszard. Posłaniec halnego wiatru	33
Wanda. Kobieta z możliwością wyboru	41
Barbara. Kobieta (babcia) wędrująca, czytająca i czekająca na zlecenie	47
Marek. Inżynier z duszą humanisty	54
Agnieszka i Szymon. Między Śląskiem a Warszawą	58
Helena	64

C.D.N. Uzupełniamy treść na bieżąco.

Słowo wstępne

Janusz Olczyk

Jeśli chcesz poznać, jak ludzie rozumieją swój świat i swoje życie, dlaczego z nimi nie rozmawiasz? Podczas wywiadu, badacz wsłuchuje się w to, co ludzie mówią o swoim świecie przeżywanym, słucha poglądów i opinii wyrażonych ich własnymi słowami, dowiaduje się o ich (...) marzeniach i nadziejach. Steinar Kvale, Prowadzenie wywiadów, (seria Niezbędnik badacza), PWN Warszawa 2011

Już od dawna nosiłem się z zamiarem napisania, na miarę moich możliwości – ponieważ, odkąd pamiętam ze zrozumieniem, przyglądam się ludziom i społecznościom – tekstu kulturowego o zbiorowości tworzącej grupę długotrwale i terytorialnie zamieszkującą. Od urodzenia mieszkam w Warszawie, jednak korzeni rodzinnych tu nie znajdę, bo najstarszy dokument rodzinny, czyli świadectwo zakupu ziemi przez pradziadka z maja 1853 roku lokuje moje rodzinne strony w granicach ówczesnego powiat radomszczańskiegogo. Od zawsze mam tego świadomość, zapewne dlatego, kiedyś marzyło mi się być etnografem, eksplorować całą kulturę wiejską, a dzisiaj, do mnie, do mieszczucha owa etnografia przychodzi pod nowoczesną formą etnografii miejskiej, bowiem przemieszały się tradycje i potrzeby człowieka. Tego ze wsi i małego miasteczka ciągnie do metropolii, a tego z krajobrazu wieżowców i hałasu miejskiego ciągnie na łono natury. Przemieszczają się ludzie za pracą, za wykształceniem, a wraz z nimi wędrują elementy ich kulturowości z obyczajami, tradycjami, nawykami, odmiennościami mowy i stylu bycia, i całym szeregiem innych drobnych wyróżników. Kultury się mieszają, asymilują lub funkcjonują obok siebie, różnie to bywa, ale w dłuższym przedziale czasowym, na określonym obszarze uwidaczniają się nowe cechy kulturowe, o których można by powiedzieć, że tworzą one obraz tożsamościowy, czyli świadomości zbiorowej odrębności tych mieszkańców. Sam jestem ciekaw, czy w ogóle, a jeśli, to co nas dzisiaj wyróżnia spośród innych ursynowskich grup zamieszkujących swoje osiedla? Pewnej pięknej majowej niedzieli trzydzieści lat temu, przechodziłem koło kościo-

ła na Wyżynach, wtedy jeszcze drewnianego, akurat kończyła się msza z pierwszą komunią świętą, a na lichym wówczas parkingu stały nieliczne w tamtym czasie samochody z rejestracjami poza warszawskimi i byli też goście rodzin dzieci otrzymujących ten sakrament. Właśnie ci licznie zebrani goście, w części, ale znacznej, byli niezaprzeczalnym świadectwem miejsca pochodzenia naszych mieszkańców. Ogorzałe od słońca twarze z wyraźnym śladem na czole braku opalenizny, po czapce lub berecie chroniącymi przed nadmiarem ultrafioletu, po prostu przed udarem słonecznym w trakcie ciężkiej roboty w polu. Ich dłonie jak bochny chleba, żyłaste i kościste nie stają się takie od pracy biurowej, a charakterystycznie przygarbione plecy są wyrazem pochylania się nad pługiem, a może i swoją dolą. Widziałem też, jak ci chłopcy łamali papierosa bez filtra na pół, wtykali do fiki jedną połówkę a drugą z powrotem do paczki. To taki zwyczaj, podpatrzony przeze mnie obraz z rzadkiej chwili odpoczynku urobionego człowieka na ławce przed chałupą, wynikający (chyba?) z braku czasu na całego, bo robota goni, a może z oszczędności, bowiem w tych fijkach spalali do maksimum tytoń a później chwytali ją w dłoń pod kciuk, zginali dłonie i zgrabnym uderzeniem w dłoń wystrzelili niespalone, nikłe resztki na zewnątrz fiki.

Dzisiaj, kiedy zatarły się wyraźne różnice zewnętrzne cechujące człowieka wsi od miastowego, nadal zauważam u znajomych i sąsiadów pewne nostalgiczne i obyczajowe cechy zachowań, zwłaszcza w okresie świąt dorocznych pakują się do auta i znikają na kilka dni, a gdy wracają słysząc pobrzękiwania stoików z pysznościami. Wtedy zazdroszczę im tych domowych wyrobów. Mieszkają tu już wiele lat, ale nie stali się rdzenni, bo i jak niby mieli by się nimi stać, od przeszłości nikt się nie uwolni, nawet, gdy mówi się: zrywam z przeszłością. Zawsze zostaje w nas zespół cech osobowych nabytych w młodości i to one, po dziesięcioleciach stanowią o jednostkowym kolorycie człowieka. Nieświadomie obarcza się takimi uwarunkowaniami własne dzieci, w czym nie widzę niczego złego, rodzina to wszak sztafeta pokoleń, mająca swoje barwne cechy, swoje poglądy i wartości. A nasza społeczność jak w mozaice, składa się z tych jednostkowych cech, tak indywidualnych, jak i rodzinnych, które z kolei, składają się na nasz zbiorczy portret własny, na portret miesz-

kańców, któremu dałem tytuł „My z Wyżyn. Mieszkańców portret własny”. Ten portret przedstawiam w formie, po pierwsze, spisanych rozmów – wywiadów, które przeprowadziłem i będę przeprowadzał dopóty, dopóki starczy mi zapału i interlokutorów. Po drugie, zamieszczam także samodzielnie spisane opowieści przez mieszkańców, którym ta forma bardziej odpowiadała w dzieleniu się ze mną swoimi wspomnieniami, opiniami, refleksjami etc.

Biorąc powyższe pod uwagę, rozgrzeszam się z pomysłu, którego realizacji się podjąłem. Nie opuszcza mnie nadzieja, że to, co robię, nie pójdzie na marne, gdyż znając nieco ludzka psychikę i pełen wiary, że ciekawość jest nadal dominującą cechą ludzkości wiele osób zechce się z tą pracą zapoznać. Zapewniam, że na każdym etapie jej powstawania, dołożę staranności twórczej, wykorzystam swoją wiedzę i doświadczenie, aby na końcu dać czytelnikom tekst wartościowy, niebanalny i choć nie dokończony, ale taki, który będzie można w nieskończoność uzupełniać.

Wprowadzenie autorskie

Janusz Olczyk

Nie myśl, że wszystkich znasz, że wszystko wiesz o nas, o sąsiadach, o mieszkańcach Wyżyn. A zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy anonimowość zamieszkiwania otrzymujesz w ofercie od developera, od spółdzielni mieszkaniowej oraz samych mieszkańców. Moja praktyka podpowiada mi, że znamy się zbyt słabo lub wcale. Od trzydziestu kilku lat mijam osoby, i one mnie, z którymi bez żadnego powodu, nie wymieniam ukłonu, zarówno na ulicy, w sklepie czy w NOK na imprezach, czy gdziekolwiek. Myślę, iż każdy z nas ma podobną sytuację socjologiczną, w której trwamy bezsensownie, jak w marazmie trudnym do odwrócenia. Przywykliśmy mówić o tych „znajomych” w sposób rozpoznawalny, ale nie znamy ich imion i nazwisk. Mówimy: no wiesz, ten gość, który ma „audi” lub tak a tak się ubiera, albo ten, co codziennie kupuje po dziesięć bułek. Itd. Anonimowość w przesadnym wydaniu, to taka przykra bezimiennność. Nie będę dociekał, z czego to wynika. Na odpowiedź czekam od znawców tego tematu. Wprawdzie, moim zdaniem, każdy ma prawo do zachowania anonimowości, nawet całkowicie, ale przecież sami wyrażamy obawy przed tym zjawiskiem społecznym. Zwłaszcza w tym trudnym czasie pandemii, nachodzą mnie, i wielu moich znajomych, różne myśli o osobach, które nagle znikną z pola widzenia. Czy zachorowali, może odeszli? Normalny ludzki odruch troski o drugiego człowieka, potęgowany w myślach ową anonimowością. Aż tu nagle, znowu ich widzę, ale bez skinienia głową mijamy się... trwamy w nieznajomości.

Dlatego też realizuję projekt „My z Wyżyn”, aby odczarować zaklęcie z pierwszego zdania tego wprowadzenia. Nie jestem do głębi przekonany, że mi się powiedzie ta idea. Ale co do słuszności mojego zamiaru, muszę w to wierzyć. Pragnę przedstawić ogółowi naszej mikrospołeczności kilkadziesiąt osób, które codziennie widzimy na ulicy, które zapewne obojętnie mijamy bez wzruszenia. Jednakże mogę zapewnić, że te osoby przy bliższym poznaniu okazują się wielce ciekawe, a znajomość z nimi może wnieść do naszej codzienności cały katalog barw charakterologicznych, mogą one nas wzbogacić

swoim życiowym doświadczeniem, wiedzą praktyczną i teoretyczną. To są osoby, z którymi bardzo przyjemnie się rozmawia, a rozmowa, potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem jest potrzebna jak tlen do oddychania. Poza tym, kontakt z nimi daje gwarancję określenia swojej pozycji w społeczeństwie, nie mówię tu o sytuacji podległości lub dominacji, mówię o zorientowaniu się na autookreślenie: jestem taki, a nie owaki. To bardzo wiele.

Moja robota polega na rozmawianiu. Rozmówców wybieram spośród osób znanych mi osobiście, tak zwanych luźnych znajomych lub nieznajomych. Kluczem do tematu rozmowy może być wykonywany zawód, pasja, hobby lub istotne życiowe zdarzenia. Nikomu nie „zaglądam” do alkowy, do szafy ani do garów. Mogą zdarzyć się rozmowy spoza tego klucza, najważniejsza jest bowiem sama rozmowa. Ważne żeby to była osoba zamieszkała w naszym osiedlu, bo ta praca jest o nas, o mieszkańcach Wyżyn. O Ursynowianach w ogóle pomyślę później, na razie my. Ja te rozmowy nagrywam na dyktafon, najkrótsza trwała 32 minuty, najdłuższa 2 godziny. Zapisany materiał stanowi dla mnie bazę, z której dla wygody czytelników tworzę formę wywiadu. Oczywiście muszę ograniczać się do niektórych tylko wątków, które pojawiły się podczas rozmowy, żeby sprostać rygorom edytorskim i nie zanudzać nadmiarem faktów, słów i unikać tworzenia biografii moich miłych interlokutorów.

Oprócz rozmów-wywiadów pojawiają się także auto opowieści, ponieważ niektórzy woleli sami coś napisać o sobie, bo taką formę uznali za wygodniejszą dla opowiedzenia o sobie. Tak czy inaczej, każda forma jest dobra dla scharakteryzowania osoby, dla pokazania jej kolorytu wewnętrznego, co z kolei tworzy nam mozaikę typów osobowościowych złożoną z naszych cech – cech sąsiadów z Wyżyn.

Moja praca jeszcze się nie kończy, będzie trwała tak długo, jak długo będzie trwał mój zapal do jej tworzenia i będą osoby skore do udostępnienia części swojego jestestwa czytelnikom dla idei stworzenia naszego portretu własnego. Barw i miejsca mam /jest/ wystarczająco także dla ciebie.

Michał. Poszukiwacz na stanowiskach

Michał Dessoulavy. Archeolog, działacz Polskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, aktywny turysta. Pogodny emeryt, żonaty, dzieci, wnuczęta, lat 84. Mieszkaniec Wyżyn Południowych od roku 1988.

Rozmawiamy 9. listopada 2020 roku w redakcji „Życie Seniora” w Natolińskim Ośrodku Kultury.

Michale, przypomnij mi i czytelnikom – czym zajmuje się archeologia, jako nauka?

Archeologia należy do grupy nauk humanistycznych o profilu społeczno - historycznym. Zajmuje się badaniem materialnych i niematerialnych dowodów działalności ludzi i ich otoczenia, na przestrzeni dziejów.

Co robi archeolog?

Archeolog bada warstwy ziemi, jej glebę na powierzchni a także akwenty wodne, jednym słowem całe otoczenie środowiskowe, szukając śladów działalności człowieka w przeszłości. Stara się poszerzyć naszą wiedzę o życiu człowieka w ciągu dziejów. Interesują go warunki, w jakich żył, czym się zajmował, z jakich narzędzi i przedmiotów korzystał itp.

A w przestrzeni powietrznej?

W kosmosie, na razie nie, ale z czasem, kto wie. Być może następne pokolenia tam będą miały co robić. Tymczasem archeologia uprawia badania stanowisk archeologicznych z powietrza, wykonując naloty nad ziemią, co pozwala ustalić ich lokalizację w terenie, ewentualny zasięg i rozmiary. Korzystano w ciągu XX wieku ze zdjęć lotniczych z samolotów i balonów. Obecnie do tego celu używa się przede wszystkim dronów. Pozwala to zaoszczędzić czas badaczom w poszukiwaniu obiektów w terenie. Na podstawie zdjęć lotniczych archeolog potrafi określić wartość naukową tego stanowiska i konieczność rozpoczęcia badań. U nas ze zdjęć lotniczych korzystali m.in. prof. Kostrzewski i prof. Rajewski przy badaniu śladów osadnictwa w regionie Kujaw i Pałuk.

Jakimi narzędziami posługuje się archeolog?

Podstawowe narzędzia to wykrywacz metali, teodolit do mierzenia poziomów warstw ziemnych, służy też do wytyczenia stratygrafii warstw kulturowych stanowiska, dalej łopata, różnej wielkości szufelki, zmiotki, kratownica, sonda, aparat fotograficzny itp.

Czy miewasz takie wrażenie, że stąpając po ziemi zdeptujesz, być może, nieodkryte jeszcze stanowisko archeologiczne, choćby na naszych Wyżynach?

Być może? Dlatego też, trzeba zwracać uwagę na znaleziska przypadkowe, na przykład, fragmentów ceramiki, przedmiotów z kości, metali itp., których wygląd świadczy o ich „zabytkowości”. Zdarzają się znaleziska przypadkowe, na przykład ułamków ceramiki, świadczące o tym, że w tym miejscu mogło być cmentarzysko czy osada. Kiedy wybierałem się na badania to najpierw przeprowadzałem wywiad z okolicznymi mieszkańcami na temat znajdowanych przedmiotów, dokonywałem zwiadu powierzchniowego i przygotowywałem się do planowych badań. Co do Wyżyn, to nie mam pełnej wiedzy, czy teren ten był przed zabudową dokładnie zbadany i opisany przez naukowców. Myślę, że jednak wystarczająco, bez straty dla nauki.

Jak zawodowo spełniałeś się jako, archeolog i miłośnik zabytków?

Moja kariera zawodowa, niemal w całości przypadła na czasy komunistyczne, często sprzeciwiałem się naciskowi na kadrę kierowniczą. Trudno było zagrać na dłużej miejsca pracy, jeśli nie chciało się iść na służbę partyjną. Wprawdzie wśród humanistów, czyli poza ulubioną dla partii grupą robotniczą – wytwórczą, łatwiej było trwać w swoich przekonaniach, chociaż zarobki były skromne. Owszem pracowałem w zawodzie, ale też ukończyłem szereg kursów i szkoleń z zakresu ekonomii, prawa, administracji i organizacji, co pozwoliło mi łączyć dwie specjalizacje: szefa pionu administracyjno-ekonomiczno-inwestycyjnego w Muzeum Archeologicznym z czynnościami archeologa. Nadzorowałem prace budowlano-konserwatorskie w m.in. w Biskupinie, w Krzemionkach Opatowskich w Rybnie. Jako archeolog prowadziłem, z dr. Głosikiem, badania wykopaliskowe w Janówku (woj. mazowieckie), uczestniczyłem też w badaniach wykopaliskowych na wyspie Wolin z ramienia Instytutu Historii Kultury Materialnej, oraz w badaniach szeregu innych

stanowisk. Prowadziłem z kolegami-archeologami szkolenia muzealne dla różnych grup społecznych, w tym dla szkół i wojska. Była też działalność wydawnicza i wystawiennicza, otwierałem wystawy krajowe i zagraniczne, czasami z udziałem ówczesnych prominentów. Jeśli chodzi o ochronę zabytków, to wszystko robiłem z pasji, społecznie. Byłem w zarządzie TOnZ szefem Głównej Komisji Rewizyjnej, działałem w Komisjach Opieki nad Cmentarzami (Ewangelicko-Augsburskim i na Powązkach). Kwestowałem na tychże cmentarzach. Należy podkreślić, że tamta władza miała wiele zrozumienia dla naszych działań ratowniczych – konserwatorskich i wystawienniczych, znajdowały się więc środki na te prace.

Zakończmy wątek zawodowy i przejdźmy do twojego ulubionego, zwłaszcza na emeryturze, wątku życia towarzyskiego i realizowania rozmaitego hobby artystycznego. Opowiedz o tym.

Chór, raczej zespół wokalny, teatr, kabaret, kółko literackie, wycieczki krajoznawcze poza Warszawę. Dobrze spędzony czas wolny, piękne występy i pokazy na scenie NOK i poza nią. Poznałem tu wiele ciekawych osób obdarzonych talentami, które tak jak i ja, dopiero teraz mają czas na realizację swoich pasji artystycznych. Lubię światła sceny i oklaski publiczności, lubię też uczyć się tekstów, to jest znakomite ćwiczenie pamięci, poprawia sprawność umysłu, daje poczucie pewności. Lubię to robić i lubię osoby, kolegów i koleżanki, a tych jest znacznie więcej, z którymi się spotykam na próbach i na scenie. To jest barwne życie.

Zapomniałeś wspomnieć o imprezach tanecznych...

No wiesz, rozmawiamy w szczególnym czasie, w czasie pandemii. Ostatnie tańce były w lutym, aż żal, że nie zagrasz dla mnie żadnej włoskiej piosenki w najbliższym czasie, że południowe melodie i rytmy mną nie zawładną, bo wiesz, ja zatańczę też przy disco polo, ale to nie to samo, bez przyjemności dla ucha, a dla szarmanckiej postawy wobec kobiet to wręcz niezręczne jest: no jak zaprosić elegancką kobietę do tańca, gdy z głośników płynie, a raczej ryczy, słynny acz niewybredny przebój, na przykład, no wiesz o tych majtkach w kropki.

Zostawmy te sprawy. Zapytam teraz o to, jak ci mieszka na Wyżynach?

Dziękuję, całkiem dobrze. Żyjemy tu w zieleni, na zadbanym osiedlu, przychodnia zdrowia jest blisko, dom kultury też, sklepy rozmaite. Tak w ogóle, czuję się tu bezpiecznie, chyba, że wieczorem, gdzieś przy lesie, ale nie będę specjalnie szukał takiego doświadczenia.

A gdybym poprosił cię, żebyś wyobraził sobie, że leży przed tobą plan Natolina to, co byś na nim chciał zmienić? Może nanieść jakiś obiekt usługowy, handlowy, a może sakralny?

Trudne pytanie, ale jest coś, co wzbogaciłoby nasze konsumenckie potrzeby, otóż ja bym chciał, żeby powstały smażalnie ryb, takie ze świeżymi, prosto z połowów morskich i śródlądowych, żeby wynieść poza dom te wszystkie zapachy smażenia w piątki i nie tylko, żeby nie szorować kuchni z tłuszczu i wietrzenia, jeszcze też następnego dnia. Chciałbym pójść, jak w Anglii, kupić nawet w gazetę zawiniętą rybę z frytkami i cieszyć się jej smakiem. Chciałbym też, aby powstała u nas restauracja z regionalnymi potrawami, serwującymi dania szlacheckie, takimi o których czytałem w książce „Łyżka za cholewą a widelec na stole”, autorstwa Tadeusza Przytkowskiego wraz z żoną Stefanią, oraz z Magdaleną Samozwaniec i Mają Berezowską, jak się okazuje pasjonatkami dawnych kulinariów i obyczajów szlacheckich. Wiesz, zjadłbym takiego szczupaka od łba smażonego, w środku pieczonego, a od ogona w galarecie.

Na koniec naszej rozmowy zapytam cię, jako archeologa, człowieka, który grzebiąc w ziemi często natrafia na mniejsze lub większe kamienie. Powiedz mi, jakie masz w związku z tym refleksje, co o nim myślisz, gdy trzymasz go w ręku?

Przychodzi mi do głowy, że kamienie używane były, w różny sposób przez naszych praprzodków. Na przykład, jako żarna, narzędzia kamienne, broń, różnego rodzaju grociki strzał, naczynia w epoce kamienia. Na terenach piaszczystych znajdowano wiele tego rodzaju zabytków, również kościanych. Kamień towarzyszy człowiekowi przez stulecia.

Dziękuję ci Michale za rozmowę, jak zwykle było miło z tobą gawędzić.

Adam. Człowiek nie z kamienia

ADAM WŁODARCZYK – rocznik 1941, urodzony w wiejskim krajobrazie Gór Świętokrzyskich (część niższa), rzeźbiarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, żonaty, dwoje dzieci, wnuczęta. Mieszkaniec Wyżyn Wschodnich od 1983 roku. Artysta, który nie od razu kocha swoje prace, często jest z nich niezadowolony, więc odkłada je na półkę i czeka na łaskę czasu, bo czas jest najlepszym profesorem w ocenie. Czekając lepi pierogi.

Rozmawiamy 10. listopada 2020 roku w jego pracowni – w cichym tle towarzyszy nam Elżbieta, małżonka Adama – to połączenie warsztatu artysty z galerią jego prac, znaczną część z nich widziałem po raz pierwszy. Niektórych, z wcześniejszego okresu twórczości, zapewne nigdy nie zobaczę, ponieważ nawet Adam nie wie, kto je posiada, komu zdobią domowe galerie, nie wspominając o tym, w którym kraju i na jakim kontynencie. Do archiwizowania swojej drogi artystycznej mój rozmówca... nie miał głowy, a szkoda, bo dorobek idzie w setki dzieł rzeźbiarskich i malarskich. Tych widocznych dla publiki na co dzień można szukać w Galerii Na Uboczu w NOK, stoi też pomnik przed szkołą podstawową nr 330 na ul. Mandarynki oraz wielki głaz przed NOK, a na nim tablica z portretem Lecha Terpiłowskiego (propagatora jazzu).

Adam, niech za początek naszej rozmowy posłuży nam cytat, który wyjąłem z tekstu zamieszczonego w katalogu wystawy z okazji czterdziestolecia twojej pracy artystycznej, czyli z roku 2007, organizowanej przez m.in. Urząd Dzielnicy Ursynów, ponieważ ten cytat, moim zdaniem, dobrze cię charakteryzuje: „Prace ursynowskiego artysty, które powstawały w pierwszych latach po ‘zsyłce’ na Ursynów, były wyjątkowo ponure. Na wielu reliefach z serii ursynowskiej przewija się jeden motyw. To mały człowiek naprzeciwko monumentalnego planu.” Czy mógłbyś rozwinąć tę myśl?

Tak, to była zsyłka, wszędzie było błoto. Wówczas jeździłem do pracy na Ochotę, byłem artystą na etacie, najbliższy przystanek autobusowy był w okolicach kościoła św. Tomasza, a zatem, musiałem brnąć przez błota nieprzebrane ilości, aby w końcu zatłoczonym ikarusem wyjechać do miasta. Tu, na miejscu nie było jeszcze dzisiejszej zieleni, jedynie szczątki po starych

sadach, dzikie krzaki, żadnego przedszkola czy szkoły. Do sklepu szło się też po błocie. Od lasu oddzielały nas płoty hałaśliwych budów nowych bloków i rozległe pola uprawne. Było brzydko i ponuro, miałem podły nastrój, byłem przytłoczony zmianami po przeprowadzce, czułem się jak zesłaniec w księżycowym krajobrazie nicości.

Ten nastrój znalazł odzwierciedlenie w twoich pracach, prawda?

Czy ja wiem, no było trochę szarości... (*małżonka przyniosła pastel*) To jest właśnie z okresu szarości, bez tytułu, przedstawia grupę ludzi przed kościołem w rodzinnej wsi męża...

...to taka scenka rodzajowa, jakich już dzisiaj nie uświadczysz, bo widzę młodzież czekającą albo wracającą z lekcji religii, może po naukach przed bierzmowaniem, dziś już tak nie ma...

...no właśnie, dokładnie tak (*małżonka jest obecna i aktywna*), to jego kościół parafialny, ja jestem w tle, to były lata siedemdziesiąte, pamiętasz Włodek (*drugie imię Adama, obowiązuje w domu-red.*), to jest przed naszym ślubem, zimą, w domu było jeszcze klepisko zamiast podłogi, tu jest ten twój kolega z Rembowa, już nie żyje, dzisiaj młodzież tak gromadnie idzie klasą na rekolekcje ze szkołą, raczej przymusowo dla części... a tam nadal jest tak, że wielu idzie na mszę, ale zostają przed murem kościelnym i tam „przeżywają” ewangelię, i uważają, że zaliczyli mszę, chłopcy i baby. Kiedyś to mogło być zrozumiałe, bo nie mieli butów, szli boso, w kościele posadzka zawsze zimna, a kto miał buty, to zakładał je dopiero za ostatnim domem, przed kościołem. Buty trzeba było oszczędzać, to były złe czasy.

To była dygresja, teraz ja przytoczę ci jeszcze jeden cytat ze wspomnianego katalogu: – „Raz odwiedził mnie kolega, rozmawialiśmy. Spojrzał na moje prace i mówi: K..., Adam, ty farb kolorowych nie masz? Ja tego wtedy nie widziałem. To był chyba protest przeciwko temu, co tu zastałem, a raczej czego nie zastałem. (...) Jednak z czasem korzenie się przyjęły i prace zaczęły stawać się bardziej pogodne. Okolica zaczęła wyglądać coraz lepiej. I moje nastawienie też. Potrafię przyzwyczaić się do wszystkiego. Tyle tylko, że to musi trwać. A kiedy już się przyzwyczaję, to nie lubię zmieniać.” Możesz odnieść się do tych słów z tego cytatu?

Oj, to święta prawda! (*małżonka*)

Ja się przywiązuję, do małżonki też się przyzwyczaiłem (*śmiech*), lubię osiadły tryb życia, nie lubię ruszać się dalej poza dom, chyba że na rowerze do lasu.

To też czysta prawda! (*małżonka*)

A podróże zagraniczne, wiem, że jednak czasem można cię wyrwać z domu?

Byliśmy z małżonką we Włoszech, w Portugalii, we Francji. Byłem też w Rosji.

Czy te podróże wywarły wpływ na twoją twórczość?

No wiesz, w podświadomości na pewno coś we mnie zostało, trudno powiedzieć, bo nie jeździłem po to, żeby szukać inspiracji, tylko wiadomo, że coś zostaje. Zwłaszcza z pobyków w muzeach zostaje jakiś ślad.

Czy jest jeszcze jakiś kraj, jakieś miejsce za granicą, które chciałbyś zobaczyć?

???

???

...wiesz, ja bym chciał wszystko zobaczyć, na pewno, ale Afrykę najbardziej, tam nie byłem, w Ameryce nie byłem...

Gdybyś wybrał się w podróż w te rejony świata, to szukałbyś inspiracji albo konfrontacji z tamtejszą sztuką? Czy podpowiedzi w rodzaju: Adam ty musisz to zobaczyć!, mają na ciebie wpływ, a może mają cię pogrążyć w kompleksie człowieka mniej bywałego w świecie?

...„musisz to koniecznie zobaczyć”... Jak będę miał okazję, to zobaczę. Muszę? Niczego nie muszę! Przecież wiem, że wszystkiego nie zobaczę, jak mówiłem chciałbym, ale się nie da... nie mam z tego powodu kompleksów.

Opowiedz mi o swojej twórczości. Może o różnorodności technik twórczych?

Skończyłem wydział rzeźby. Najbardziej lubiłem pracownię medalierską, ale wykonałem dziesiątki reliefów, trochę grafiki użytkowej i wiele rysunków – suchym pastelem, węglem. Na początku dużo rzeźbiłem w drewnie i w glinie formy, żeby je odlać w metalu albo w sztucznym kamieniu, ale zarzuciłem, ponieważ wymagają te działania specjalnych warunków, bo to

stukania, hałas urządzeń do obróbki. Sąsiedzi mnie pogonili z tym, bo niosło się w pionie po dach, a pracownię mam w przyziemiu bloku mieszkalnego. Ja to rozumiem i dlatego zaprzestałem.

Co to jest ten sztuczny kamień?

Mieszanka cementu, żwiru, mączki marmurowej, do tego dochodzi siatka i pręty zbrojeniowe.

Toż to prawie budowlanka!?

No, to jest budowlanka, to wymaga zupełnie innych warunków niż tu widzisz, dlatego robiłem tutaj dużo małych projektów medalierskich. Cicho, precyzyjnie dłubałem formę, a odlewy wykonywali znajomi odlewnicy, którzy zainwestowali między innymi w piec elektryczny, tu nawet takiej potrzebnej mocy prądu bym nie miał. Na wizytę papieża miałem zlecenie wykonania medalu, o właśnie tego. *(podaje mi, oglądam)*

Widzę podobiznę JP II zupełnie jak na zdjęciu, rzadko zdarza się widzieć tak rzeczywisty, prawdziwy, obraz artystycznej wizji podobny do powszechnie znanej twarzy czy postaci. Niestety, podróżując po kraju, a mam takie ciche hobby demaskatora, zwykle trafiam na maskary postaci papieskiej, zawsze jakaś ułomność proporcji, grymas twarzy tylko ledwie podobny, nawet przygarbienie jest przerysowane, gdyby nie biret i charakterystyczny płaszcz moglibyśmy mieć do różnych postaci odniesienia, ale niekoniecznie do naszego papieża. Skomentujesz to?

Rzeczywiście mało jest dobrych pomników papieskich. Niekiedy są to okropne maskary, ja zwłaszcza nie lubię tych, które nazywam „upiększone”, są tak wygładzone, bez zmarszczek, bez widocznego upływu czasu, przecież nikt takiego papieża nie pamięta, nawet jak był młody, to jego twarz nie była aksamitna, zawsze było w niej widać piętno wysiłku... a tu coś przedobrzą, czegoś nie zauważą...

Pomówmy jeszcze o innych technikach artystycznych, którym się poświęciłeś. Ja spośród twojego dorobku najlepiej znam, oprócz reliefów, rysunki i akwarele.

Akwareli mam mało zrobionych, to dla mnie zbyt trudna technika, mam rękę rzeźbiarza.

No właśnie, uścisk dłoni masz niczym imadło. Ale wróćmy do rysunków, a właściwie do suchego pastelu. Te, które znam, podpowiadają mi, że można uznać cię za portrecistę Ursynowa, z tym jednak zastrzeżeniem, że w większości są to portrety nie rozmachu budowlanego, ale raczej miejsc, które kojarzą się z wsią sielską, niekoniecznie anielską. Ten miejski krajobraz, ale ze szczytkowymi atrybutami miasta, nie jest ani wesoły, ani smutny. Jest po prostu nostalgiczny. Czy to nostalgia do rodzinnych stron, rozmyślenia o młodości, i, czy w ogóle jest w tobie ta tęsknota za tym czego już nie ma, za tym, co bezpowrotnie utracone?

Tak, są takie pastele – „Kałuża”, „Las Kabacki”, „Ursynów”, „Stajnie” i szereg bez tytułów, które potwierdzają co mówisz. Zrobiłem też wiele rysunków w swoich rodzinnych stronach, od których nigdy nie da się uwolnić, w pamięci noszę obrazy podwórek wiejskich ze studniami i wozami, polnych bruzd po horyzont i krajobrazu tamtejszego w ogóle, lubię te wiejskie detale w starych chatach. Ja to wszystko pamiętam, ja głównie rysuję z głowy na podstawie zapamiętanych „fotografii”, i stąd, bez względu na nastrój czy na oświetlenie odwzorowuję je na papierze. Nie ma na mnie wpływu emocja chwili. Jak w okresie „szarości” zapamiętałem obraz, to dzisiaj odtworząc ten powidok, choćby w pełni słonecznego światła lub w ponurym jesiennym deszczu zrobię go tak samo. Rysuję z pamięci, więc mogą być różnice w zestawieniu z rzeczywistością. To są moje „przetrawienia” rzeczywistości przez odległość i czas, bo wróciłem skądś z obrazem utrwalonym na kliszy pamięci i rysuję w tej pracowni, i naprawdę rzadko od razu. Jeśli widzisz na moich pracach jakiś nastrój, to jest on zewnętrzny, nie jest odbiciem stanu mojej duszy. Ta wspomniana „szarość” była na zewnątrz, a że ja miałem wtedy smutek w sobie, to dwa różne źródła emocji. Jedno to szara rzeczywistość, drugie to zmiana miejsca do życia. No nie wiem, a może one się przenikają, tylko tego nie dostrzegam, bo utrwalam w sobie tę z dawna ukształtowaną rozdzielną rzeczywistość życia i twórczości. W końcu ta nostalgia we mnie jest... chyba... Wiesz, jak mówiłem, ja maluję w zaciszu pracowni, nie na ulicy, nastrój podglądaczy zza pleców, ich komentarze pochlebne czy krytyczne mnie nie dotyczą, jak to widać u malarzy sztalugowych na

Starówce, bywają zdenerwowani, może to wpływa na ich widzenie i sprawność pędzla, na dobrane kolory, bo niekiedy widać, że raz odwzorowują fotograficznie, spokojnie, a innym razem karykaturalnie, w pośpiechu, jakby nerwowo. Nie, ja tak nie pracuję, żeby mnie podgrzewały emocje, nie lubię, gdy mnie ktoś podgląda w pracy. I wiesz, ja nie jestem też przebojowy...

Możesz tę ostatnią myśl rozwinąć?

Ja mam dystans do tego co robię. Wielu kolegów uważa, że to co zrobić jest najlepsze, najważniejsze, a kto krytykuje, ten nie zna się, nie ma racji, to jest takie samouznanie za artystę. Owszem, ja lubię uznanie, ale od odbiorców mojej działalności artystycznej. Ale przebojowe samouznanie? Nie, tego nie akceptuję. Lubię szczerość w tworzeniu.

Teraz poproszę cię o chwilę rozmowy nieco filozoficznej. Ty, jako rzeźbiarz, człowiek mający od zawsze do czynienia z kamieniem, jako dziecko, jako młodzian, przecież na polach nie raz obiteś sobie palec o kamień, chodziliście bez butów, a ojciec twój tępił ostrze pługa o kamień, a później, jako student i artysta kamień stał się dla ciebie tworzywem twórczym. Czy kamień ma dla ciebie jakieś znaczenie inne niż otoczek z pola, który cię ranił?

Różne są kamienie, jak dostałem w łepetynę kamieniem, bo się z chłopakami biliśmy, to czułem ból, to była broń, mały kamyk. Na studiach byłem na plenerze w kamieniołomach i miałem za zadanie pociąć blok granitowy. Thukłem go na mniejsze części, twardy był i oporny. Rozłupałem go tylko na pół, potem rzuciłem dłuta, taka robotą nie jest dla mnie, dlatego szanuję kamieniarzy, którzy z tą materią potrafią sobie poradzić i przygotować tworzywo rzeźbiarzom. W granicie rzeźbi się bardzo ciężko, łeb odskakuje od uderzeń, co innego piaskowiec, ten jest podatny na kształtowanie. Granit jest twardy, ciężki, jest monolitem, ale czy jest symbolem trwałości, w filozofii zapewne tak, ale dla rzeźbiarza trwałość przejawia piaskowiec, na pewno dłużej wytrzyma, pokryje się patyną i wytrzyma.

Jakie inne znaczenia związane z kamieniem przychodzą ci na myśl?

Kamień i jego trwałość kojarzy mi się z fundamentem, z podłożem pod budynek, chodniki, drogi z kamienia. Grobowce i płyty nagrobne chronią

zmarłego człowieka po śmierci, mauzolea, piramidy i co tam jeszcze. Kamień potrafi być plastyczny. Na grobowcach są figury zmarłych a na nich szaty, widać ich zwiewność, a pod nimi strukturę ciała. To jest artyzm, to jest to najwyższe rzemiosło.

A propos piramid – gdybyś na własne oczy widział kamienne bloki piramid, co byś wtedy pomyślał, jako rzeźbiarz? Że tyle tworzywa się zmarnowało?

No nie, tak nie, podziwiałbym kunszt budowniczych, zachodziłbym w głowę: jak oni to zrobili? Ręcznie przecież zrobili, to jest nie do pojęcia. A co do innych znaczeń, no nie wiem teraz, jestem zaskoczony pytaniem.

To ja cię dopytam. Może będziesz zaskoczony. Mówi się o twardej i o miękkiej stronie kamienia. Twarda to kamień budowniczych, rzeźbiarzy, kamień – broń, kamień geologów. A miękka strona kamienia to jest zbiór znaczeń i metafor związanych z kamieniem. Na przykład: „kto pierwszy rzuci kamieniem”, „kamień filozoficzny”, „człowiek o kamiennym obliczu” albo „o kamiennym sercu”, „o rzut kamieniem”, „poruszyć każdy kamień” i cały szereg innych, które odkrywane są dla filozofii i kulturoznawstwa, w końcu dla wzbogacenia semantyki języków świata także. Po jednym krótkim zdaniu o tych metaforach, jeśli zechcesz?

„Kamień filozoficzny” to tajemnica, „człowiek o kamiennym sercu” i „człowiek o kamiennym obliczu” to niewzruszenie, to zaprzeczenie empatii a „poruszyć każdy kamień” to może być określenie wytrwałości, nieustępliwości, z kolei „o rzut kamieniem” wydaje się być używane, gdy chcemy określić odległość w pobliżu albo bliskość w ogóle.

Na koniec naszej rozmowy, powiedz mi, czy na studiach mieliście jakieś zajęcia, na których o takich znaczeniowych dla języka i społecznego porozumiewania się sprawach rozmawialiście?

Mieliśmy filozofię, ale tu cię rozczaruję, nigdy na wykładach nie słyszałem, a szkoda, bo to ciekawe jest zagadnienie. W czasach, gdy ja studiowałem królowała filozofia Marksa i Engelsa, na których budowano podstawy myśli socjalistycznej, co na szczęście nie przełożyło się na trwałe podstawy naszego życia. Humanistyka i wolna myśl nie były dobrze widziane w edukacji,

bo niosły ze sobą, zdaniem ówczesnej władzy, zagrożenie światopoglądowo obce i mogło obalić ustrój. Co i tak nastąpiło.

Zapytam jeszcze z ciekawości, czy obecnie takie zajęcia na studiach plastycznych mają swoją pozycję w programie nauczania?

(małżonka, która nas wytrwale słuchała do końca postanowiła mieć ostatni głos)

Zuzia (córka, absolwentka ASP) nie miała w programie nic podobnego, ale z własnej inicjatywy, z koleżankami chodziły na tego typu dodatkowe wykłady filozoficzne i bardzo sobie je chwaliła. Nadal ta sfera humanistyki jest poza programem obowiązkowym.

To już zupełnie na koniec naszego spotkania zapytam cię, czy mógłbyś przytaknąć lub zaprzeczyć takiej sentencji znalezionej na facebook`u: „Mężczyzna jest skałą, opoką, zimnym głazem. Ale czasem pęka...”

TAK!!! (odpowiedziała małżonka)

Dziękuję za rozmowę, to było miłe. *(Adam ściska mi dłoń, aż mi chrupnęło w kostkach)*

STASINEK. Człowiek, który czyta mapy

STANISŁAW KRYCIŃSKI, rocznik 1954, inżynier chemik, z zamiłowania historyk i krajoznawca autor licznych książek, map i publikacji. Żona Marta, młodsza od męża, jest pedagogiem, psychologiem i terapeutką pedagogiczną. Mają dwóch dorosłych synów na swoim. Mieszkają na Wyżynach Południowych od 1986 roku. Staszek jest też człowiekiem z Wikipedii, tam jest jego biogram, do którego odsyłam zainteresowanych, bowiem tu zabrakło by miejsca na jego prezentację. Staszek, to człowiek, który dużo mówi. Gaduła – powie ktoś, ja powiem – gawędziarz obdarzony doniosłym głosem. Dużo mniej i wiele ciszej, ale z psychologicznym namysłem mówi Marta.

Rozmawiamy 12. listopada 2020 roku w Natolińskim Ośrodku Kultury.

Czy możesz określić, podając kierunek geograficzny, gdzie na natolińskim niebie, w lecie, widać Wielki Wóz?

Wielki Wóz – Mały Wóz – Gwiazda Północna. A więc, na północy, a gdzie jest północ akurat wiem.

Gratuluję, aczkolwiek tego właśnie się spodziewałem. To była bezbłędna logika krajoznawcy. Skoro jesteśmy myślami na naszym osiedlu, to powiedz mi proszę, czy na plan Natolina, ściślej Wyżyn, jeśli aktualnie taki istnieje, naniósł byś jakiś obiekt – kultury, usługowy etc. – którego twoim zdaniem na nim brakuje?

Nie zastanawiałem się nad tym. Z usług mało korzystam, sklepy są, no nie wiem...

...a może smażalnia ryb przydała by się... (podpowiadam)

...o!, to prawda, zjadłoby się rybkę, można by wtedy kłopot ze smażeniem w domu i jego skutkami pokonać. A poza tym, była kiedyś kawiarenka „Łyk optymizmu” w pasażu, do której z żoną często zaglądaliśmy, niby jest ta świetna kawiarenka „Le petit café”, ale tam często nie ma miejsca, więc nową kawiarenkę bym widział. Przychodnia jest, Dom Kultury jest, czekam na nowe koncerty jazzowe, chociaż nie wiadomo, co będzie po pandemii.

Aha, jest coś, te czworaki starego folwarku, one niszczej, właściwie już zmar-
niały, ale na plan bym je naniósł i wszystkie inne miejsca historyczne, w koń-
cu mam hopla historyka, myślę też o graniczącej z osiedlem alei kasztanowej,
o alejce lipowej i o sosnach wejmutkach w stronę lasu, o wsi Moczydło. Gdy-
by się zagłębić, to chociażby dla przypomnienia warto byłoby gładem czy ta-
blicą kilka miejsc oznaczyć i nanieść na planie. To jest jakiś kawałek tutejszej
historii, szkoda tego, żeby się zatarło.

**Czy jako twórca między innymi map, mógłbyś odnieść się do stwier-
dzenia norweskiego badacza kartografii Thomasa Berga, autora książki
„Teatr Świata. Mapy, które tworzą historię”, że „Mapy to obrazy świata
– to świat w obrazach”?**

Nie znam gościa, autora, nie czytałem tej książki, ale całkowicie się zga-
dzam. Ja mam wielki sentyment do starych map. Zwłaszcza tych z II połowy
XIX wieku i z I połowy XX wieku. Wcześniej to były takie mapy „pół” to-
pograficzne, później zrobiły się topograficzne, na tyle odzwierciedlające te-
ren, głównie zabudowę, bo to mnie najbardziej interesuje, ta historia, którą
człowiek stworzył w tym krajobrazie. Te mapy przekazują mi ogromną ilość
informacji. Oglądając je znajduję zmiany, które zaszły wraz upływem lat. Są
takie austriackie mapy Galicji, które zaczęli wydawać w latach siedemdziesią-
tych XIX wieku, a skończyli w czasie I Wojny Światowej. Niecałe czterdzieści
lat wydawali, kilka razy te same arkusze aktualizowane. Tam było widać te
zmiany, coś ubywało, przybywało, ale dwory, na przykład znikwały, cerkwie
w innych miejscach były stawiane, nowe tartaki, młyny, nowe cmentarz przy-
bywały. Jak się dobrze taką mapę obejrzy, jedną, drugą, trzecią, to spokojnie
można napisać na pół strony, albo całą informacji do przewodnika, nigdzie
nie trzeba zagłębiać, tylko dokładnie tę mapę czytać, przeanalizować. Mapa
jest moim źródłem informacji, ale jednocześnie pokazuje, to co wtedy się dzia-
ło i co było ważne. To co mnie strasznie wkurza na współczesnych mapach,
na przykład w googlach, że rzek nie widać. Człowiek jedzie samochodem i nie
zauważy nawet dużej rzeki z szerokiego mostu, są mniejsze rzeczki, są mostki,
przepusty. Dopiero jak się weźmie mapę wojskową, to nawet mizerne rze-
czułki tam są zaznaczone, że ma bagniste brzegi, czy strome są itd. Jak się

weźmie takie mapy od okresu międzywojennego, to pierwsze co widać, to są rzeki. Wojsko wiedziało, że rzeka grozi przeprawą i mapa na to przygotowywała. Obecne mapy, nawet wojskowe, nawet nie wiem, czy wydaje się takie obecnie, bo ostatnie wydawane były przez Wu.Zet.Kart. na siatkach sprzed pięćdziesięciu lat, ale na nich zwracano jeszcze uwagę na rzeki. Nowe mapy to już nowa kartografia cyfrowa. Kiedyś mapy miały tak zwaną legendę, część opisową, złożoną z miniatur obecnych na arkuszu a wykonywanych precyzyjnie przez rysownika. Dzisiaj już tak nie odwzorowuje się rzeczywistości terenowej. Wzruszam się, gdy widzę te cyzelowane dzieło rysownika, ty wiesz, że na niektórych mapach jest nawet cień drzewa naniesiony, albo zaznaczone są kwiatki. Można wzruszyć się do łez.

(O mapach, w różnych kontekstach, rozmawialiśmy jeszcze kilkadziesiąt minut, dlatego pomijam dalszy obszerny fragment rozmowy. Kto by to w całości przeczytał? Wspomnę tylko, że zgodziliśmy się w wielu sprawach na temat sztuki kartografii sprzed epoki zdjęć satelitarnych, mówiliśmy o kunszcie tworzenia mapy, o planach katastralnych i ich prymitywnym sposobie wytyczania za pomocą sznurka i cyrkla z drągów, że są trwałą skarbnicą wiedzy o terenie, o znakach, o umiejętności ich odczytywania, o mapach Google`a, z których nie wyczytasz ukształtowania terenu itd., chyba że przełączysz się na podgląd satelitarny, ale nie ogarnie się większej połaci terenu itd., i o braku zasięgu sieci, który uniemożliwia korzystanie z map w telefonie, co skutkuje zagubieniem się turystów. Mówiliśmy też o tym, że te nowe mapy nie są dla antykwariuszy niczym wartościowym. Temat nie został wyczerpany, za to ja tak, bowiem Staszek przytłoczył mnie swoją wiedzą wykutą z zamięłowania, a moja wiedza turysty z czasów map papierowych i jedna książka wspomniana wcześniej, a nawet to, że mianuję się krajoznawcą, okazały się być niewystarczające. Więc głównie słuchałem uprzejmie a za pozyskaną od Staszka niezwykle interesującą wiedzę dziękuję gorąco, a że rozmowę nagrywałem, będę mógł do niej wracać.)

Staszek, krajoznawstwo jest twoim hobby, które stało się drugim zawodem, a zapewne pierwszym zarobkowym (śmiech Staszka). Twój pierwszy zawód: inżynier chemik poszedł w odstawkę, w zapomnienie?

Tak, ale po studiach ja pracowałem jako chemik, w dwóch firmach co najmniej.

Żałuj, bo teraz to wzięty zawód...

Ale, że co, że bimber, amfetamina (*śmiech*), trochę ryzykowne!

Wracajmy do twojego krajoznawstwa, które ja widzę, jako osadzone na gruncie historycznym, w historycznych kontekstach, czyli interesują cię detale miejsca, czasu, przyczyny wydarzeń i ich skutki na eksplorowanym obszarze. Szukasz tych tłumaczących teraźniejszość i tak zapisujesz w licznych publikacjach. Czy dla krajoznawcy, badacza historii regionów jest to modelowa postawa, czy są jakieś alternatywne, równie skuteczne?

Nie próbowałem tych innych metod, ale generalnie krajoznawstwo polega na tym, że stara się poznać kraj, czy jakiś jego fragment, region, bo to są badania regionalne. Mnie interesuje Polska południowo – wschodnia, aczkolwiek lubię całą ścianę wschodnią od Zamościa po Białystok i dalej, Puszcze Knyszyńską i Sokółkę. Tylko że tu, to ja jestem bardziej turystą na rowerze niż badaczem, ale z mapą w ręku odszukujemy, zwykle z przyjaciółmi, zaznaczone ciekawe miejsca. Ale o tym, o ścianie wschodniej, nie piszę żadnych książek, bo to wymaga... znaczy moje książki są na jakimś poziomie ogólności, który wynika z tego, że ja już prawie pięćdziesiąt lat w to się wgryzam, więc teraz musiałbym się wgryzać w nowe tereny z równą szczegółowością. Natomiast, co różni krajoznawców? Pan Hertz, znawca Mazowsza, jest krajoznawcą niewątpliwie, ale on zna się bardzo dobrze na przyrodzie i to jest jego domena. On każdy kwiatek ci opíše, powie kiedy kwitnie, kiedy usycha. O kopytnych i rogatych też wiele się dowiem. Oczywiście czytam jego prace, w których historia jest zawarta, choć ona delikatnie mówiąc kulała, musiał o tej historii pisać, bo trzeba jakieś tło zarysować... tak samo zresztą jak Krygowski, który brał udział w wytyczaniu szlaków turystycznych w Bieszczadach i Beskidach. Nie mieli dostępu do map wojskowych, więc brali siekierki, żarcia na kilka dni i pruli, wycinali na krechę krzaki, mimo, że do dziś zachowana jest, szczególnie w starych lasach, sieć dróg, takich ergonomicznie poprowadzonych, bo to się jeździło wozami sprzężonymi w woły po drogach głównie gruntowych ale i nielicznych bitych. Krygowski – krajoznawca takich map nie miał, on przecierał szlaki. Ja tego nie robiłem, ja szukam śladów historii. Każdy robi to, co uważa za najlepsze dla siebie, to czemu jest w stanie podołać najlepiej.

Ja też uważam siebie za krajoznawcę, tyle tylko, że moje pole „badawcze”, moja domena jest jak najbardziej współczesna, jest tu i teraz. Najbardziej interesują mnie ludzie, ten aspekt socjologiczno – kulturoznawczy, codzienność życia, dokonania człowieka, co zrobił dziś dobrze a co spartolił, jak wykorzystał swoją szansę etc. Różnice międzyregionalne są widoczne gołym okiem, nie chodzi tylko o finanse, o uwarunkowania polityczne i gospodarcze, tu mentalność się liczy i świadomość mieszkańców w regionie. Ja po prostu jestem krytykiem miejsc: patrząc na stan zabytków, na układ urbanistyczny w ogóle, zwiedzam muzea regionalne, chodzę po lasach, bywam w górach i nad wodą itd. Nie zawsze neguję, czasem też pochwalę... chciałbym wiedzieć od ciebie, czy...

...ja w ogóle nie wartościuję tego. A krytyk po prostu ocenia to co widzi, raz dobrze a raz źle. Krytyka jest też potrzebna, wszystko, co człowiek stworzył podlega krytyce. Każdy styl krajoznawczy jest dobry, jeśli nas wzbogaca pozyskaną wiedzą. Dlaczego nie krytykować słabej mapy albo źle odrestaurowanego pałacu, ograbionego z drzew lasu, betonowych rynków w miasteczkach itd. Poza tym, ja jestem inżynier chemik, i wszystko co w krajoznawstwie robię, to robię amatorsko.

Tu nie zgodził bym się z tobą, ponieważ masz powszechne uznanie środowiska, które i tak z definicji jest właściwie amatorskie – krajoznawstwo to pasja przecież – ale twoją wiedzę o Podkarpaciu doceniło wydawnictwo „Czarne” angażując cię jako konsultanta do pisanej przez Monikę Sznajderman książki „Pusty las” o historycznych zasłóściach Beskidu Niskiego, o owej pustce po wichrach historii. Czy nie jesteś zbyt skromny?

Trochę się tego boję, bo czasami coś napiszę i potem to już idzie w świat: bo Kryciński napisał. Ja piszę w najlepszej wierze, to co udało mi się sprawdzić, ale odrzucam różne rzeczy, które są niepewne, albo piszę, że ktoś tam podał, że być może, ale i tak niestety potem, nawet jak się napisze to „być może”, to się odrzuca to „być może” i wiadomo, że Kryciński napisał, że „Tak”! No więc, im bardziej piszę i bardziej jestem uznawany, to tym więcej muszę się pilnować.

Jak Sokrates: „wiem, że nic nie wiem”. Skromność w podejściu do swojej wiedzy czy przekonań praktycznych, ale jednocześnie zapewnienie, iż nie spoczęłem na laurach?

Wiesz, u mnie to wynika z takiej konsekwencji, bo ja rzeczywiście w 1974. roku byłem pierwszy raz w Bieszczadach, w celach można powiedzieć poznawczych. Ja tam pojechałem specjalnie, to był obóz wędrowny, ciągnęło mnie tam, bo cokolwiek już wiedziałem, że to nie tylko Połoniny, że tam w tych dolinach czai się jakieś nieszczęście, są jakieś ślady po kimś i po czymś, że były tam wsie a ich nie ma, dlaczego? Tyle wiedziałem, stąd mnie ciągnęło bardziej w doliny. I teraz jest mi przypisywane takie hasło, czego się nie wypieram, że „nie ma takiej góry, której nie dałoby się obejść”, ale to wynika nie jakoby z mojego lenistwa, tylko z tego, że na przykład w takich Bieszczadach życie było przede wszystkim w dolinach, w górach raczej pasterstwo, więc tych śladów tam jest mniej. Ślady są w dolinach. No i moja działalność górską, krajoznawcza polega na penetracji dolin i szukania śladów po ludziach, którzy tam mieszkali. I jeśli to się robi z jakąś konsekwencją, a mnie zaintrygowało, bo jak ja zaczynałem, to cała lektura o Bieszczadach to były „Łuny w Bieszczadach”...

...i „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”...

...tak, tak, ten sam czas, gdzie historia Bieszczadów sprowadzona jest do tych trzech lat konfliktu polsko – ukraińskiego, a przecież tam się znajduje monety rzymskie, monety celtyckie... *(Staszek jeszcze kilkanaście minut opowiadał o poszukiwaczach monet przy pomocy specjalistycznych urządzeń, nazywał ich detektorystami, o prywatnych kolekcjach tych znalezisk i o cennej współpracy z archeologami w datowaniu tychże i dokumentowaniu stanowisk.)*

(A tymczasem doszła do nas i przyłączyła się do rozmowy żona Staszka Marta, która jest – to dla przypomnienia – psychologiem, pedagogiem, specjalistą terapii pedagogicznej.)

Ponieważ pojawiła się oczekiwana Marta, to ja, póki pamiętam, wróć jeszcze do pytań związanych z naszym osiedlem. Czy uważacie, że na naszym osiedlu są miejsca, o których mógłby śpiewać Lech Janerka: „Tutaj ludzie złych profesji mają swoje oceany, tu nie wolno śmiać się i za dobre mieć ubranie, strzeż się tych miejsc”? Krótko mówiąc, jest to pytanie o to, czy czujemy się bezpiecznie?

(długa cisza)

Nie, nie. Czujemy się bezpiecznie. Ja krótko powiem. Ja się wychowałem na Pradze, w tzw. „Trójkącie Bermudzkim” na Stalowej, więc mnie tutaj nic nie jest straszne, natomiast jak chodzę po tej naszej „starówce natolińskiej”, to siedzą na ławeczce tacy menele, ale mnie nie przestraszają, tylko czasami mnie brzydzą, bo śmierzdzą przetrawionym alkoholem. To właściwie jedyne, co mogę powiedzieć, a co mi się nie podoba.

A tobie Marto?

Znaczy... mnie nic tutaj takiego ani nie spotkało, ani specjalnie nie słyzałam, ja się na osiedlu czuję bezpiecznie. Bardzo często wracałam z pracy, niedaleko stąd ale późno, około dwudziestej trzeciej. Nigdy nic mi się nie przydarzyło, natomiast też starałam się tak wracać, żeby oświetlenie było. Ja się czuję bezpiecznie, moje dzieci też. Jak dzieci były małe był taki czas, że między dziećmi różne scysje się zdarzały. Dawniej na osiedlu kradli rowery, ale nasz dozorca pilnował porządku. Osiedle nie było zagrodzone. Dozorca wiedział, co się dzieje i miał pieczę nad wszystkim. Dzieci były bezpieczne *(Staszek dopowiada: pan Janusz, wzorcowy dozorca!)*.

Wy mieszkacie przy Sadku, a ja od innych mieszkańców wiem, że czasami trudno tu zaznać spokoju a wieczorami omijają oni te niedoświetlone alejki na skos?

Mamy balkon na sadek, czasami tam się odbywają jakieś nocne imprezy, pokrzykiwania, czasami bywały wulgarne, ale to nie dzieje się zbyt często. Po meczach Legii najczęściej, ale generalnie mieszka nam się bezpiecznie.

Marta, dajmy Staszкови chwilę odpocząć, zapytam cię o młodzież...

... chętnie, bo ja o młodzieży mam zawsze dobre zdanie.

Czy masz swoją opinię, jako psycholog – pedagog, na temat ogólnie rozumianego wychowania naszej osiedlowej młodzieży w wieku szkolnym?

Osiedlowej? Ja bym powiedziała tak, może trochę nie na temat, jak tutaj zamieszkaliśmy pracowałam z dziećmi w klubikach osiedlowych i to mi dawało dużo satysfakcji. Potem rozwinął się ruch społeczny organizowania szkoły 336. Tu w NOKu odbywały się zebrania. Zaangażowałam się w po-

wstawanie tej szkoły i przez kilka lat w tej szkole pracowałam. Doceniam całą tamtą młodzież i ludzi zaangażowanych w edukację. Młodzież wtedy była zaangażowana i rodzice byli zaangażowani. To mnie nosło, być może dlatego, że robiłam to również dla swoich dzieci. A jak było z wychowaniem? Jak to między dziećmi, czasami się pokłóca... ja generalnie patrzę na młodzież pozytywnie, nawet ja oni coś robią nie tak, to normalka... patrzę optymistycznie.

Jestem podejrzliwy, ja nie mam tyle optymizmu.

Pracowałam dwadzieścia kilka lat w szkole w Śródmieściu, oczywiście że ta młodzież była różna, ale zawsze mi się udało wyłowić, nawet w tych największych gałganach, coś pozytywnego, coś dobrego. Staram się budować na pozytywach. Ja generalnie miałam taką rolę w szkole, żeby przede wszystkim, pomóc uczniom w kłopotach, pokazać im pozytywy nauki. Oni wiedzieli, że mogą do mnie przyjść po pomoc. Uczyłam dyslektyków ale z innymi problemami także przychodzili.

(swoją opinię dodał Staszek) Wiesz, tak z boku patrząc myślę że ten główny problem polega na tym, że kiedy myśmy chodzili do szkoły, to jak ci nauczyciel powiedział: przyjdź z mamusią, to człowiek miał miękkie nogi, a teraz jak powie, żebyś przyszedł z mamusią, to mamusia przyjdzie i opier... nauczyciela i to się przekłada na to wychowanie. Jak dziecko funkcjonuje w takich realiach, a wtedy w innych, to można powiedzieć, że tamte były grzeczniejsze a te mniej. Ja mam ogromny szacunek do tego co Marta robiła, mimo powszechnego osłabienia autorytetu zawodu nauczycielskiego. *(dalej Marta)* Często rodzice pogardliwie krytykują w domu na głos nauczyciela w obecności dziecka. Później dzieci to samo mówią w szkole. My to z kolei wiemy, próbujemy z tymi dziećmi rozmawiać, pokazywać inne postawy, ale to... to zależy właściwie tylko od rodziców. Teraz spadł na tych rodziców obowiązek dopilnowania edukacji zdalnej w domu. Wielu zaczęło doceniać trud tej nauczycielskiej roboty.

W tym miejscu, po raz kolejny, muszę zrobić skrót naszej rozmowy, mimo iż była niezwykle interesująca, to jednak nie opanowałem rozmówców i „przegadali” mnie i tym samym jej ogólnego założenia, żeby jedynie sportretować naszych mieszkańców bez zbędnej wivisekcji. A zatem rozmawialiśmy o modzie w szkole i hedonizmie młodzieży, wspominaliśmy szkolne fartuszki, nie

tylko dla przyjemnych wspomnień - bowiem w tle naszej rozmowy stały postawy rodziców – a raczej o problemach zamożności rodziców i jej wpływu na samopoczucie uczniów. Nie mogliśmy ominąć sytuacji polskich kobiet, ich walki pod szyldem „Strajku Kobiet” o prawo do własnej decyzji i innych praw (trochę nam się zrobiło smutno), doszliśmy do spraw tolerancji, aż wreszcie, to nad nami wisało, kilka słów o polityce i niestety skojarzeń działań i argumentów do stylu, zdawałoby się, dawno minionej epoki. To było déjà vu PRL-u. Mnie zaciekała szczególnie dygresja o tworzeniu kultury wysokiej i jej teraźniejszym obrazie w kontekście działań władzy. Dlatego dużo słów padło o korzystaniu z dóbr kultury, z literatury i muzyki zwłaszcza. Opowiedzieliśmy o tym, co przeczytaliśmy, co czytamy obecnie, a co czeka w kolejce. Staszek wyznał, że polyka książki historyczne, ale literatura piękna go nie fascynuje, a Marta o tym, że książek szuka bardziej na półkach z klasyką niżli z nowościami. Akurat chłonie dzienniki Andersena i nie może się oprzeć porównywaniu dawnych zachwyków i przeżyć autora ze swoimi współczesnymi zachwykami i emocjami, z podobnym postrzeganiem świata, który jest piękny tak samo jak dawniej. Tyle lat minęło a podobieństwa pozostały. Co do muzyki byliśmy stanowczy, to Toccata i Bolero w naszej rozmowie, czy inne tak zwane przeboje muzyki klasycznej górowały nad przebojami muzyki popularnej, tej bardzo „popularnej” też a tak hojnie wspartej przez właściwe ministerstwo. O naszej noblistce, o ogromnym wpływie eseju „Czuły narrator” na humanistyczny ogląd świata. Zeszliśmy na wartość cytatów i sentencji pochodzących z ust wielkich postaci. Staszek zacytował Norwida(!): „Ojczyzna – to wielki zbiorowy obowiązek.” Po tych słowach ogarnął nas nastrój zadumy, chwila ciszy, która zapadła, była najgłębszym komentarzem do sytuacji z wczoraj, z 11. listopada, do „racowiska” na marszu, którego pierwotną ideą zawładnięto w sposób uzurpatorski. Muszę jeszcze dodać, że Staszek i Marta opowiedzieli mi o swoich wakacjach, w czasie których, na obozach krajoznawczych i archeologicznych pod wspólną nazwą „Nadsanie”, pracowicie inwentaryzowali teren Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego oraz prowadzili renowację opuszczonych cmentarzy i o tym, jak trudno wówczas było budować relacje zaufania między ludnością pochodzenia ukraińskiego a nimi – Polakami. Ot, uprzedzenia. O tym, że Staszek wykonał tysiące zdjęć w czasie swoich badań, które uporządkowane czekają na dalszy swój los, ale żaden wydawca, żadne muzeum czy inne instytucje ochrony miejsc i zabytków, chyba z braku funduszy, nie decydują się na ich publikację. Szkoda, że skarbnica wiedzy musi czekać, ta oryginalna dokumentacja, na której często jest utrwalone to, czego już w rzeczywistości zobaczyć się nie da. Przypomnieliśmy sobie, że kilkanaście lat temu w NOK była wystawa złożona z wybranych zdjęć Staszka dokumentujących Pogórze.

Pozostało mi zadać ostatnie, może banalne pytanie. Którą lub które ze swoich książek uważasz za najważniejsze i dlaczego?

(Oczywiście Staszek się zaśmiał, a Marta uznała, że to fajne pytanie, ale, czy bez ironii?)

Ja miałem różne okresy w swojej twórczości. Pisałem przewodniki, swój jeden, a pozostałe jako współautor konkretnych rozdziałów. To z tych czasów przewodnikowych są takie dwie wielkie kobyły po pięćset stron (monografie bieszczadzkich gmin Cisna i Lutowiska), miałem pisać trzeci tom (gmina Czarna), ale żona mi powiedziała, że się ze mną rozwiedzie. Wynikało to z efektów finansowych, niestety mizernych, ale teraz, patrząc od strony zapotrzebowania na nie, a nakład był niski, na allegro osiągają wysokie ceny, to widzę, że są potrzebne i wartość ich się pokazuje. Po okresie przewodnikowym, a w przewodnikach nie mogłem zmieścić całej wiedzy i to mnie zaczęło męczyć, bo musiałem się strasznie streszczać, a uzbierało się przez te czterdzieści parę lat wiele ciekawych rzeczy, to zacząłem pisać książki historyczne o Pogórzu Przemyskim, o Bieszczadach i o Łemkowszczyźnie. Które są najważniejsze? Myślę, że te dwie ostatnie o Pogórzu Przemyskim: „Tajemnice doliny Wiaru” i „W krwawym zakolu Sanu”. Jestem z nimi najbardziej związany emocjonalnie.

Tytuły jak dla kryminalów?

Ja mam problem z wymyśleniem tytułów, a wydawca życzy sobie tytułu jak najbardziej marketingowego, aczkolwiek rzeczywiście tam się krew lała, to był teren gdzie zginęło mnóstwo ludzi, a przede wszystkim Ukraińców, o czym właściwie Polacy nie wiedzą, że AK-owcy, niestety, rżnęli Ukraińców. W odwecie za to, że rodziny tych AK-owców były wyróżnione przez Ukraińców pod Lwowem. Dotychczas jest problem z tym, że ja gdybym nie miał znajomych wśród Ukraińców, to moje badania już dawno doszłyby do ściany, ta ściana nadal jest, ale jakby przesuwana się do tyłu.

(Marta) Potrzebne jest zrozumienie i tolerancja wobec innych nacji, w tym Żydów, Kaszubów, Ślązaków ...zaszłości i uprzedzenia zniechęcają do poznania kultury, języka, obyczaju, nie ułatwiają porozumienia.

I tak zakończyliśmy naszą rozmowę. Dziękuję, była wyjątkowo interesująca.

RYSZARD. Połaniec halnego wiatru

RYSZARD DUDZIŃSKI. Zakopiański góral, lat 63, żonaty z warszawianką, mają syna i wnuka. Inżynier elektronik. Jego kariera zawodowa związana była z najlepszymi markami w branży IT. Obecnie pracuje w jednej z nich. Miłośnik narciarstwa i Tatr. W mieszkaniu zgromadził sporo góralskiego rzemiosła praktycznego i artystycznego stanowiącego część wystroju.

Rozmawiamy 20. listopada 2020 roku w ich mieszkaniu na Wyżynach Południowych (żona w pobliżu, wspiera nas herbatą i słodkim, nie chce się narzucać).

Wiatr halny, powiedz mi coś o nim, jak go znosisz?

Myślę Jasiu (*to do mnie*), że to jest tak. Wiatr halny jest o tyle specyficznym zjawiskiem, że na każdego działa trochę inaczej. Rzeczywiście, ludzie się stają tacy... nerwowi.

A ty?

Widzisz, to jest ciekawe, bo ja jestem przyzwyczajony, od dziecka, do tego, że wiatry halne są normalnym zjawiskiem. I ja jakoś tego nie odczuwam mocno. Na mnie to nie działa tak, jak działa na innych ludzi, zwłaszcza, i to jest ciekawostka, na takich „Olcanów” z Olczy w Zakopanem. Oni przeczuwają halny na trzy dni przed. Biorą przysłowiowe ciupaski i idą po prostu wożać. Snują się w poszukiwaniu zaczepki. Natomiast na mnie nie ma takiego wpływu jak na przyjezdnych.

Wiesz, ja odczuwam skutki halnego tu w Warszawie. Ja jestem meteopatą...

...no to chciałem powiedzieć, że ci ludzie, na których zjawiska pogodowe, zmiany ciśnienia, oddziałują w sposób istotny, czują to faktycznie, i to nie jest kwestia tego, czy w Warszawie czy nad morzem, te prawie tysiąc kilometrów dalej. Ale to nie wynika z tego, że u nich wieje ten sam wiatr, tam niemal może być bezwietrznie, tylko wynika z dużych wahań ciśnienia. Na psychikę niektórych to wpływa nieprawdopodobnie.

Ja to ciężko znoszę. Choćby te wczorajsze (*19.list.2020*) skoki o 30 hekto-Pascali, od niskiego po wysokie, ja nie mogłem spać. Takie wiatry, jak wiesz, zdarzają się na świecie: pasaty, monsuny, górskie i dolinne. Jak byłem na

(w) Chorwacji, akurat w listopadzie i wiał wiatr zimny od gór do morza, słynny bora, to wiesz, w głowie szumiało, chłodził tak arktycznie i nie można było przed nim uciec, schować się, bo kręci. Nawet za ogromną ścianą domu jego lodowate jęzory mnie smagały... narastał w człowieku przedziwny stan psychiczny...

W Alpach tak samo, dzieje się podobnie, u nich to nazywa się fen. Wiatry te reguły są ciepłe i wieją od gór ku dolinom.

A w Australii sądy są łaskawsze dla łamiących prawo, gdy wieje konastorm, bo wplywa na ludzki organizm rozdrażnieniem.

Tak, bo ludzie wówczas nie działają racjonalnie i sami nie wiedzą, dlaczego tak się dzieje. Widziałem po reakcji różnych ludzi, że idzie halny. Myśmý mówili, że dostawali tak zwanego „nerwa”. Gdy przychodzi ten wałek z chmur nad Tatrami, wtedy już wiadomo, że niektórzy będą szaleć. W szkole podstawowej, jak zbliżał się halny, to na przerwach jedynym zajęciem były bitki chłopaków, wszyscy się lali równo i to była rzecz normalna, ja się też lałem oczywiście... Tu w Warszawie takiego zjawiska nie ma, ale...

...ale komunikaty pogodowe w telewizji, uprzedzają nas o możliwych skutkach halnego, ostrzegają o możliwym pogorszeniu samopoczucia, więc myślę, że nie jestem tu jedynym, żadne to pocieszenie, ale jest sporo osób, którym to dokucza...

...pamiętam taki halny w 1968 roku, który wiał ponad 288 km/h i już brakło skali na mierniku w obserwatorium na Kasprowym Wierchu. Powalił setki tysięcy drzew. Był to najsilniejszy wiatr, jaki w ogóle zanotowano w Polsce. W mieście fruwały zerwane dachy, szyby, ogromne konary drzew itp. Wówczas z bratem chodziliśmy w zabawkowych hełmofonach (jak z „Czterech pancernych”) trzymając się mocno płotu i zbieraliśmy wyrwane z dachu naszego domu dachówki. Zakopane wyglądało jak po wojnie. Nie zapomnę tego widoku. To jest jego cecha główna. Siła.

(czekałem kiedy mnie o to zapyta) Ale zacząłeś rozmowę od halnego, dlaczego?

Zacząłem od halnego, bo przecież przyszedłem do górala.

Tylko widzisz, góral też człowiek i na górali niekoniecznie muszą działać tak samo te zjawiska. Jeden przy halnym chwyci za kłonicę a drugi nie. Ja na-

leżą do tych drugich. Tym nie mniej odczuwam przed halnym lekki niepokój, ale nie żeby ciupaskę wyciągać.

Jest taki stereotyp, który mówi, że jak idzie halny to góral ma przymus pójścia do karczmy żeby się napić, jak to jest naprawdę?

Tak się mówi. Niektórzy zapewne są pod przymusem.

Zostawmy już ten wiatr w spokoju. Zmieniam temat. Jest takie powiedzenie, że górale mówią o mieszkańcach Zakopanego, różnicując ich góralskość: pnioki – krzoki – ptoki. I ty jako góral, który wyjechał, kim się czujesz?

Wiesz na czym polega to rozróżnienie? Pnioki to głęboko wrośnięte i mocno zakorzenione rody góralskie, z dziada pradziada. Krzoki to przyjezdni, nawet bardzo długo mieszkający, bez rodowodu góralskiego. A ptoki rodowite nawet, ale fruują po świecie. Jak widać, skoro tutaj mieszkam, to jestem takim ptokiem. Ale mnie tam ciągnie, cały czas, Janusz, nawet nie wiesz jak.

...ależ wiem. Widziałem twój zachwyt, gdy byliśmy kiedyś na Polanie Rusinowej, kiedy chmury odsłoniły Tatry Bielskie!

Piękne!

Jakby na siłę nas tam ciągnęłaś, wywarłaś na nas presję, by pójść właśnie tam, na Rusinową, i mimo że pogoda była niepewna, jak to w górach, to trafiliśmy szczęśliwie na moment, kiedy Tatry się odsłoniły. Obserwowałem twój zachwyt tym widokiem. Ja widziałem wtedy, że ty jesteś stąd, u siebie, że to, co widzisz, że jesteś w górach, że to cię najbardziej cieszy i, że twoja przykrość będzie polegała na tym, że ty za kilka dni stąd wyjedziesz. Do Warszawy, czyli...

...czyli do domu. Wiesz, trafiłeś w sedno. Janusz, mówmy otwartym tekstem, każdego chyba ciągnie w rodzinne strony, do korzeni. Chyba, że ludzie mają złe wspomnienia z dzieciństwa, ale ja mam wspaniałe. Choć jako dziecko nie lubiłem chodzić w góry, bo, po co, przecież widziałem je codziennie, co prawda z oddali, ale zawsze – taka jest mentalność dziecięca. Dopiero jak opuściłem rodzinne strony (internat w Krakowie, akademik w Warszawie), to zrozumiałem ojca, który wyciągał mnie i brata niemal na

siłę na górskie wycieczki. Brat później przejął pałeczkę i został ratownikiem TOPR i przewodnikiem górskim. A swoją żonę poznał na kursie przewodnickim, połączyła ich miłość do Tatr.

W szkole średniej przynajmniej miesiąc wakacji, a na studiach dwa, spędzałem jako strażnik przyrody w TPN (Tatrzańskim Parku Narodowym). Jak sama nazwa wskazuje, zajmowałem się ochroną przyrody m.in. nasadzeniami limb (sosna górska), pilnowaniem i edukacją turystów, naprawą szlaków itp. Ale najważniejsze, że mogłem w obwodzie ochronnym spędzać całą dobę. Na Hali Gąsienicowej miałem lokum i spanie w leśniczówce TPN, niedaleko Murowańca. Wówczas warunki były skromne, bez prądu i wody, ale przecież schronisko było obok, a poza tym całe dnie spędzaliśmy gdzieś na szlaku. Rankiem budziły ptaki, a wieczór żegnał widokiem tak rozgwieżdżonego nieba, że chyba nie ma takiego nigdzie. Słowem wymarzone wakacje. Dziś idąc na Halę Gąsienicową z dumą mogę pokazać wnukowi limby, które sadziłem z ojcem-leśnikiem ponad 40 lat temu. *Non omnis moriar* można powiedzieć górnolotnie. Coś po sobie zostawię dla przyszłych pokoleń. Mój ojciec kochał Tatry, nauczył mnie pokonywać trudne odcinki orlej Perci i zachwycać się surowymi graniami. Tam pozostał na zawsze, tam zginął. Nie każdy zasłużył na tak piękną śmierć.

(nie ciągnąłem tego tematu dalej, nie pogłębiałem nostalgii, która zagościła na twarzy u twardego górala)

Jaki masz teraz stosunek do folkloru góralskiego, z perspektywy warszawskiej?

Widzisz, ten folklor mnie otaczał w dzieciństwie. W szkole podstawowej, na lekcjach używaliśmy języka literackiego, ale na przerwach dzieciaki gwaryły, ja to przejmowałem, bo u mnie w domu raczej gwary się nie używało. Gwara to ważny element folkloru. Innym, którego już nie ma to redyki, czyli spędy owiec na hale wiosną, gdzie pasły się do jesieni. Myśmy czekali na ten dzień, kiedy nagle ruch na drogach zamierał i całą szerokością szły owce z dzwoneczkami u szyi, stado długości nawet pół kilometra, białe falujące morze owiec z tymi dzwoneczkami. To było piękne, wszyscy wychodzili i podziwiali niecodzienny widok, jakież to było wspaniałe! Zjawiskowy folklor.

Innym związanym z folklorem elementem, jest obyczaj weselny. Jak jechał orszak weselny, to na początku, na pięknych koniach, czystych, dorodnych w galowych uprzężach jechali „pytace” z biało-czerwonymi szarfami, pięknie ubrani, którzy pytają, czyli zapraszają na wesele. Poza tym jest coś, co ci jest znane, czyli Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem, kiedyś we wrześniu, teraz w sierpniu. Do międzynarodowego charakteru tej imprezy chcę nawiązać. Bo wiesz, tradycja góralska była nam znana na co dzień, wiemy jak wyglądał strój góralski, taniec czy przyśpiewki, obyczaje, to było naturalne. A na festiwal zjeżdżali się górale z różnych stron świata. Zobaczcie, to też górale, tylko nieco inni. Któregoś roku przyjechali górale z Afryki, to było wydarzenie, zobaczyliśmy inny świat, nagle widzisz Murzyna w kolorowym stroju też górala. Egzotyka, inny wygląd, inna muzyka i tańce, inne stroje. To był szok, ale pozytywny, bo uświadomił nam dzieciom, że górale są wszędzie tam, gdzie są góry, nawet na nizinnych Węgrzech, nie tylko na Podhalu.

W kontekście mocno zakorzenionych tradycji, jak widzisz wspólne muzykowanie Trebuniów Tutków i Jamajczyków?

Mnie się to bardzo podoba. Jak był koncert Trebuniów w NOK, to kupiłem ich płytę z Twinkle Brothers, „Songs of Glory”, jest po prostu wspaniała, a utwór „Królewskie nadania” to coś niezwykłego. Zobacz mam dedykację od Krzysia Trebuni: „Dla górala z Małej Łąki”, a tak się składa, że z królewskiego nadania Mała Łąka jest w Zakopanem, a na Wyżynach jest z nadania urzędowego.

Były głosy z Podhala, że to jest wyprzedaż folkloru, autentyczności...

...nie, nie, nie, ja uważam, że to żadna profanacja, czy jakakolwiek wyprzedaż.

Dla mnie to jest wprowadzenie góralszczyzny do innej kultury, to rozwój muzyki góralskiej, jej promocja. Przecież to jest rozwój, to są działania kreatywne i podnoszenie poziomu wykonawczego. Nie można tylko dyndolić na skrzypkach i basie, udowadniać, że ludzie mają rację i mówią, że: nie lubią chamstwa i góralskiej muzyki. A działalność Trebuniów temu właśnie zaprzecza. A nawet myślę, że samych górali, którzy mają większe pojęcie o muzyce też może to dyndolenie wkurzać. Co sądzisz?

Myślę, że to co oni zrobili, Trebunie i Twinkle, to jest coś wspaniałego. Na tym polega rozwój, żeby szukać nowych form, to jest nowoczesna, wartościowa forma tradycji. To są też nowi słuchacze góralskiej muzyki. To jest kapitalne.

Chciałbym teraz zapytać o znaczenie księdza Tischnera dla górali?

Ja nie mogę wypowiadać się za wszystkich górali, powiem tylko za siebie. Ksiądz profesor Tischner był osobowością niezwykłą, wywodził się z rodu góralskiego, to był góral z krwi i kości. Jego „Filozofia po góralsku” w tym wydaniu z audiobookiem, gdzie on sam czyta, to jest tak autentyczne, to jest zrobione po pańsku. „Filozofia...” ma bardzo ciekawe wątki dotycząceowości rozumu. A mówić o tym tak, jak to robił Tischner, żeby każdy zrozumiał... on to potrafił. Przełożył, jakby, mądrość filozofów na język zrozumiały dla wszystkich, na gwarę też przełożył. Mało tego, myślę, że od czasów księdza nie było jeszcze takiej osobowości, która by potrafiła zrobić taki manewr, żeby użyć postaci z Podhala i przypisać im cechy i myśli konkretnych filozofów i w ten sposób ich scharakteryzować, nikomu nie wyrządzając krzywdy ani nie wynosząc ponad. A to określenie na trzy rodzaje prawd, to zrozumiały dla wszystkich majstersztyk. Prawda, też prawda i g... prawda.

Czy możesz mi wytłumaczyć, na czym polega pobożność Podhalań, taka demonstracyjna w oddaniu się sprawom kościoła i wiary z jednej strony, a z drugiej okazywanie dominacji nad kobietami we własnym domu?

Po prostu tradycja. Zawsze górale byli katolikami, czy oni byli rozumnie wierzący, czy nie, to jest inna kwestia. Góral przychodzi z kościoła, może jest zły, bo po drodze coś go wkurzyło, więc potrafi zdzielić babę, bo mu się coś nie spodobało, co oczywiście, absolutnie nie jest po katolicku. Prawda? I to jest ta druga prawda. Ale skąd się to bierze, że tak jest? Górale to naród dość porywczy, żyjący w enklawie, w surowych warunkach w trudno dostępnych górach, w swoich zwyczajach i bez patrzenia na inną kulturę, to stworzyli taką tradycję silnej ręki chłopca i podległej baby. Ale co dobre, to to, że górale skłonni są do poświęceń. Choćby ten krzyż na Giewoncie wymagał ogromnego poświęcenia przy jego stawianiu.

A ja myślę, że to jest krzyż pokutny, choćby za to, o czym mówiłeś. A wracając do tej pobożności górali, to jest taka myśl Tischnera, którą przytoczę: „Pobożność jest bardzo ważna. Ale rozumu nie zastąpi.”

Niewielu jest ludzi, którzy potrafią tak sformułować głęboką myśl. Ona jest z jednej strony prosta, ale ile zawiera w sobie mądrości. Dlatego górale go lubili, bo mówił ich językiem, przekładał trudne do zrozumienia rzeczy na krótkie, zrozumiałe dla wszystkich przekazy. Z lekką nutką złośliwości dawał do zrozumienia, że pozory nie są prawdą i usprawiedliwieniem. Umówmy się, górale mają wiele przywar, mówiąc to, nie odkrywam przecież Ameryki. A ksiądz o tym doskonale wiedział, on tak sprytnie im ten przekaz dawkował gwarą, żeby bez problemu jego odbiorcy zrozumieli zawarty w nim sens.

Jest taki stereotyp w postrzeganiu górali, mówiący, że górale są pazerni, że oskubią na oscypkach, że przepłacisz za nocleg itd. Jak patrzysz na opinię, że góral kocha dudki?

To prawda, jest taki stereotyp. Jednak nie można generalizować. Owszem, ci, którzy żyją z turystów chodzą z łatką pazernych, bo turyści tak rozgłaszają, ale pamiętać należy, że góral jest ogromnie honorowym człowiekiem. Pierwsza i najważniejsza cecha górali to honor. Też nie wszyscy, ale zdecydowana większość, to są ludzie honorowi. Wyżej u nich stoi honor niż pieniądze, można się o tym nie raz przekonać. Ale jest grupa, nazwijmy ją pazerna, która ma kontakt wyłącznie z turystami i na nich żeruje. Myślę, że każda miejscowość Polsce i poza krajem, żyjąca z turystów ma podobne stereotypowe opinie, z którymi musi się zmagać.

Na pewno wiesz, co to jest watra. Czy wiąże się z nią jakaś symbolika?

Pewnie, że tak. Każda grupa społeczna ma swoje symbole a watra należy do góralskiej tradycji. Na hali przy owcach, to najprostsza rzecz, jaką można zrobić z materiału leśnego. Nie tylko dla górali, ale dla człowieka w ogóle, ogień był pewną magią. Watra jest zagnieżdżona w człowieku od czasów pierwotnych. Bez ognia, bez jego ciepła i energii nie ma życia, watra zawsze była narzędziem. Od watry można się ogrzać, można coś upiec, osuszyć ubranie, watra świadczy, że jest życie. Przy watrze wspomina się ludzi, śpiewa, snuje bajanie, tworzy się wspólnotę. W starych kurnych chatkach góralskich watra

płonąca cały czas, a dym unosił się do góry i otworami w dachu uchodził na zewnątrz.

A teraz zapytam cię o najśłynniejszą góralską pieśń, o „Góralu, czy ci nie żal”. Jak górale traktują tę pieśń wspólnie?

Nie wiem jak wszyscy górale, nie mogę się ogólnie wypowiadać. Dla mnie jest to bardzo ważna pieśń. Ja ją ciągle słyszę. Wcześniej mówiłem, że mnie tam wciąż ciągnie, do korzeni, bo ciągle słyszę tę pieśń. Dźwięczy mi w głowie. To jest ważna pieśń, bo górale też emigrowali, tęsknota ją napisała. To jest naturalna pieśń, prosta, stworzona, żeby ukoić nostalgię, żeby śpiewając ją za oceanem poczuć się jak w domu. Ta muzyka jestikliwa a dźwięk skrzypiec góralskich tęikliwośćwzmaga. Zupełnie jak góralki śpiewające znaną pieśń „Hej Krywaniu, Krywaniu wysoki”, to te chóralne głosy też tworzą takiikliwy nastrój. To jest piękne.

Już zupełnie na koniec zapytam cię o to, jak ci się mieszka na naszym osiedlu i czy chciałbyś coś tutaj zmienić dla polepszenia swojego komfortu?

„Górka Kazurka” wprawdzie nie zastąpi Tatr, ale z pobliskim lasem tworzy całkiem dobry klimat do biegania, jazdy rowerem i rekreacji. Nie chciałbym mieszkać w innej części Warszawy. Z Wyżyn mam ok. 30 km bliżej do Zakopanego niż z północnej części stolicy. HEJ!

Dziękuję ci za rozmowę, która we mnie wzbudziła na nowo tęsknotę mieszcza za górami.

Wanda. Kobieta, która ma wybór

WANDA KRAWCZYK. Urodzona w Sochaczewie w roku 1947, emerytowana położna, gotowa przyjąć poród w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba. Wdowa, dwoje dzieci i wnuczeta. Do tworzonej przez seniorów ursynowskich gazety „Życie Seniora” pisze artykuły promujące zdrowe odżywianie i aktywny tryb życia osób dojrzałych. Zapalona czytelniczka książek historycznych. Kocha wyjazdy za miasto, wycieczki krajoznawcze, seanse i spektakle, imprezy towarzyskie i taneczne, chociaż alkoholu nie znosi, czasem dawkuje go kroplami, żeby się odczepili ci, co lubią polewać. Lubi jasne sytuacje, bez zakłamywania rzeczywistości. Jest odważną kobietą. Mieszka na Wyżynach Wschodnich.

Rozmawiamy 1. grudnia 2020 roku w redakcji Życia Seniora”.

Ile lat pracowałaś w zawodzie jako położna?

Od 1968 roku.

Gdzie zdobyłaś zawód?

Liceum skończyłam w Sochaczewie. Starłam się dostać na medycynę, oczywiście zabrakło mi punktów. A więc, nic nie mówiąc rodzicom, złożyłam papiery do Pomaturalnej Szkoły Położnych, w której nauka trwała dwa i pół roku, bez wakacji, bo to był czas praktyk na oddziałach i w terenie.

Jak to w terenie?

No, na przykład w Izbie Porodowej w Tarczynie. Lekarz tam był tylko na telefon w razie komplikacji, a my musiałyśmy same zadbać o wszystko.

Powiedz mi, ile porodów odebrałaś, a właściwie ile ich przyjęłaś?

Myślę, że kilka tysięcy, ale nie liczyłam, powiem szczerze. Wtedy, gdy pracowałam, rodziło się więcej dzieci niż teraz, chociaż nie wszystkie kobiety trafiały do szpitala, część rodziła w domach, a część w izbach porodowych. Zresztą, mając lat czternaście, sama byłam świadkiem porodu u mojej kuzynki. Ciężki poród, trwał chyba trzy dni, więc biegałam na izbę porodową, siostrę cioteczną trzymałam za rękę i razem z nią przeżywałam ten poród. A o latach, gdy nie dostałam się na medycynę, co było marzeniem nie moim, ale mojej mamy, mając w pamięci to przeżycie, zdecydowałam o szkole po-

łożnych, bo jednak coś mnie w kierunku medycznych zawodów ciągnęło, więc zapisałam się na kierunek położnictwo i taki uprawiałam zawód, chciałam pomagać.

Bardzo szlachetna decyzja. Położne mówią, że to najstarszy zawód świata... *(śmiech)*

Poniekąd. Dzieci rodziły się zawsze, bo zawsze kobiety pomagały drugim kobietom przy porodach.

No właśnie, jaka jest jeszcze rola położnych przy porodach?

Przygotowanie matek do przyjęcia dziecka na świat, pouczenie, jak należy postępować z noworodkiem i niemowlęciem, pielęgnacja okołoporodowa i matki, i dziecka. To najważniejsze. Ale bywają też wsparcia psychologiczne, bo często kobiety źle przechodzą ciążę i porody, wtedy trzeba je jakoś na duchu podtrzymać, żeby dotrzymały ciążę do końca, albo po porodzie, jak się źle kończy poród, żeby nie popełniły jakichś głupstw. Różnie się dzieje... popadają w psychozy... targają się na życie... *(czuję, że to drażliwy i bolesny temat)*

To zastanawiające, bo w obecnej sytuacji politycznej, kiedy usiłuje się odbierać prawo do podejmowania decyzji, prawa do wyboru kobiecie w sytuacjach, o których mówią kobiety ze Strajku Kobiet, że protestują nie za prawem do aborcji na życzenie, tylko wyboru w sytuacji orzeczenia lekarskiego, mówiącego o zagrożeniu życia ciężarnej, uszkodzeniu czy niedorozwoju płodu, często bez szans na jego przeżycie...

Cofnę się do czasów, kiedy ja kończyłam szkołę. Aborcja była wówczas na życzenie do dwunastego tygodnia ciąży. Takie było ustanowione prawo. Byłam świadkiem wielu przerwania ciąży. To, co teraz się mówi, że to jest zabicie, że to morderstwo... to we mnie się burzy w środku, bo we wczesnej fazie ciąży płód nie ma ani rączek, ani nóżek, ani główki, to jest jedna taka masa galaretowata. Oczywiście, byłam świadkiem takich późnych aborcji, ze względu, na przykład, na zdrowie matki, to owszem, już są wykształcone kończyny i głowa. Sporadycznie wykonywane były takie aborcje, natomiast te wczesne były codziennością. Niektóre kobiety wielokrotnie, bo nie wiedziały, co to antykoncepcja, przychodziły i... nawet tutaj spotykam, na osiedlu kilka takich, które teraz są oddane kościołowi, a przedtem, nawet dwa razy w roku,

poddawały się takim zabiegom. Czasami się zastanawiam, bo one zaczepiają mnie na ulicy, mieszkają tu, i wciągają w dyskusję o moralności. Ze względu na tajemnicę zawodową nie mogę powiedzieć, kto to jest, ale zaciskam zęby i milczę, kiedy mnie pouczają, że aborcja jest tylko złem. Im bliżej końca żywota, tym łatwiej odbierać prawo młodym do decydowania o swoim życiu.

Nie chcę wiedzieć, o kim personalnie mówisz. Natomiast chcę powiedzieć, że mając już za sobą czas zdolności rozrodczej, niektórym kobietom łatwo, zbyt łatwo, przychodzi mówić o zakazie bezwzględnym aborcji, nawet w przypadkach ekstremalnych, jak gwałt. Jaki jest twój osobisty stosunek do aborcji?

Mój osobisty jest taki, że kobieta ma prawo wyboru. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta, ani jej matka nie mają prawa podejmować za nią decyzji, czy ktokolwiek inny, bo to ona bierze na siebie obowiązek i trud wychowania dziecka. A nie daj Boże mieć dziecko upośledzone, w mniejszym czy większym stopniu. Kiedy byłam młoda i nie zdawałam sobie z tego sprawy, w moim sąsiedztwie mieszkała rodzina, w której ojciec zmarł, zostawiając żonę z upośledzonym umysłowo synem, ale sprawnym fizycznie. Ten dzieciak dorósł, ja go pamiętam jako czterdziestolatka i pamiętam też, jak wspomniałam, sprawnego fizycznie mężczyznę z normalnie rozwiniętym popędem płciowym. Jego obiektem pożądania była matka, którą „dopadał” na sochaczewskim podwórku, wśród innych domów jednorodzinnych i brutalnie gwałcił. Był silny, ale bez rozumu. Ja, jako młoda dziewczyna, nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, czego doświadczała ta kobieta, dopiero w dorosłym życiu zrozumiałam jej tragedię. Ja szczęśliwie nie musiałam się zastanawiać nad wyborem: usunąć czy nie? W starożytności noworodki niepełnosprawne były eliminowane, zrzucane ze skały, taka była praktyka. Dzisiejsza wiedza medyczna rozpoznaje ułomności w okresie prenatalnym i wówczas jest moment na usunięcie ciąży. Wtedy też kobieta powinna mieć możliwość wyboru, żeby nie znaleźć się jak w tej opisanej sytuacji gwałcenia przez syna lub tysiącu innych możliwych... *(zapadła cisza)*

Mogłabyś dokończyć myśl, że poród musi boleć, że jest...

...że jest przyjemnością, może niektórzy powiedzą...

...ale kojarzy się z bólem...

...nie ma tak, że jest bezbolesny, chyba że kobieta ma cesarskie cięcie, ale i tak decyzyja o nim jest poprzedzona bólami porodowymi pierwszego i drugiego okresu porodowego. To też boli. A jak mocno? Śmieszy mnie reklama fitolizyny: mężczyzna krzyczy, bo ma bóle kolki nerkowej...

...to ja przeczytałem ci coś na ten temat. *(zawczasu się śmiejęmy)* „Podczas porodu ból jest taki, że kobieta może sobie w końcu wyobrazić, jak cierpi mężczyzna, który ma gorączkę.”

Ból jest porównywalny do bólu kolki nerkowej, do schodzenia kamieni nerkowych, ale jest to ból straszny, sama rodziłam dwa razy, więc wiem, jaki to jest ból. Następuje rozszerzenie się kanału rodnego. Nie tylko macica się rozszerza, ale i kościec na wysokości sklepienia łonowego. To jest ból, jakby cię rozrywano. Zwłaszcza gdy płód ułoży się w poprzek albo pupą do wyjścia. Gdy kobieta współpracuje z położną czy z lekarzem odbierającym poród, to można ból zniwelować przez oddziaływanie psychoterapeutyczne, przez środki rozkurczowe... nawet normalnie rodząca kobieta doznaje czegoś w rodzaju rozrywania od środka. U jednej to trwa kilka godzin, a u innej nawet dni... W związku z tym, porównywanie przez panów, nawet żartobliwie, do bólu kolki nerkowej, gorączki czy bólu zęba, no nie, to nie jest współmierne z tym, co każda rodząca przeżywa. Nawet wieloródki, jeśli im niepomysłnie ułoży się dziecko, też będą cierpiały. W ciąży fizjologicznej poród odbywa się w ciągu do ośmiu, czasem dwunastu godzin. W patologicznej ciąży... *(tu nastąpił opis przypadków, które „ubarwiłyby” niejednego horror medyczny, ale tu czytelnikom ich zaoszczędzę, odsyłam do wyobraźni własnej lub do lektury fachowej).* Co do bólu porodowego, podsumuję to tak: to chęć posiadania potomstwa wywodzi się z decyzji o założeniu rodziny i związanej z nią prokreacją. Natura tak nas zaprogramowała, że fakt porodu niestety jest związany z bólem, bo nasze ciało musi przystosować się do wydalenia na świat nowej istoty, a narząd kobiety musi ulec dużej przemianie. Jednak ból fizyczny który towarzyszy nam podczas porodu zwykle jest rekompensowany uczuciem szczęścia z narodzonego dziecka i miłości do niego.

Była taka akcja „Rodzić po ludzku”, która teraz chyba została przez władze odstawiona na boczny tor, czego nie mogę zrozumieć?

Nawet moja córka rodziła w ten sposób, najpierw w szpitalu na Żelaznej, a potem na Inflanckiej w Warszawie. Podłączało się znieczulenie, kobieta, owszem, odczuwała skurcze, ale były niebolesne. Narząd rodny rozwierał się pomalutku, kobieta musiała przeć na życzenie osoby odbierającej poród i tak sukcesywnie rodziło się... chyba że płód ułożony był nieprawidłowo, że ma owiniętą wokół szyjki pępowinę... wówczas trzeba działać interwencyjnie.

Poród przyjmuje położna czy lekarz?

Gdy poród jest fizjologiczny, bez komplikacji, to położna wystarczy, ale gdy dochodzi do sytuacji patologicznych, to lekarz musi interweniować *(przepraszam czytelników, ale że nastąpił opis interwencji lekarza, który musi ratować płód, źle schodzący do kanału rodnego, przy pomocy kleszczy, vacuum lub szybkiego cesarskiego cięcia, oraz, o możliwych skutkach tej interwencji dla płodu, o porażeniach porodowych wszyscy wiedzą, ale o innych trwałych uszkodzeniach ciała dziecka i często matki już nie wszyscy).*

Wiesz, szukałem w literaturze opisów porodów i nie znalazłem, filmów natomiast nie brakuje, dużo taśmy filmowej zarejestrowało sytuację porodu. Trafiłem natomiast na książki o położnych, o ich opowieściach z sali porodowej. Czytałaś któreś może?

Nie czytałam i nie chcę ich czytać!

Ale są książki podnoszące znaczenie i prestiż tego zawodu. Jest w nich tyle wspomnień, opisów z sal porodowych, uświadamiają, że to jest odpowiedzialny zawód. Dlaczego nie chcesz ich czytać? Polecam ci książkę Sylwii Szwed pt. „Mundra”.

Ja mam tyle swoich wspomnień, które do dzisiaj męczą mnie po nocach... nie mogę się od nich uwolnić... coś ci opowiem jednak, żebyś mnie zrozumiał. Kiedyś medycyna była bardzo skąpa w przyrządy diagnostyczne, nie było USG i wielu innych aparatów, kobieta do końca, do porodu nie wiedziała wiele o dziecku, a już nic o płci potomka. Lekarze w porównaniu do możliwości dzisiejszych bazowali tylko na standardowych badaniach, a RTG stosowano w ostateczności ze względu na dobro dziecka, a i tak, często obraz

nie dawał możliwości pełnego rozpoznania. Ale do rzeczy, tak ci to powiem. *(Czułem, że będę musiał skracać tę opowieść i tak zrobiłem, zachowując tylko główny wątek.)* Zanim dojdzie do porodu, zanim kobieta zdecyduje się na urodzenie dziecka, to ma teraz takie środki diagnostyczne i lecznicze, ma badania prenatalne, obrazowanie zachowania płodu w łonie matki, można wykonywać operacje wewnątrzmaciczne. Teraz można właściwie wszystko. Za moich czasów, a jestem już dwadzieścia lat na emeryturze, i jak mówiłam już, kobieta do końca nie wiedziała, jakie dziecko się urodzi. Zachodziły w ciążę, niektóre, jeżeli natura chciała, roniły te ciążę. Ja znam przypadek kobiety, która trafiła na patologię w trzecim miesiącu ciąży, po czterech samoistnych poronieniach. Lekarze podjęli decyzję o pozostawieniu jej na oddziale, z diagnoza bezwzględ- nego leżenia bez możliwości pionizowania aż do czasu rozwiązania. Był to okres około 5 - 6 miesięcy, ale chęć posiadania dziecka była silniejsza niż takie poświęcenie. Przyszedł ten upragniony moment. Rozpoczęła się akcja porodowa, ale po kilku godzinach braku postępu, zlecono wykonanie bada- nia RTG. Obraz badania był nader zadziwiający. Okazało się, że kośćiec ma- leństwa nie jest połączony stawami. Po stymulacji porodu za pomocą leków, urodził się noworodek, którego kostki nie były połączone stawami. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Stawialiśmy sobie pytanie, jak przekazać matce wia- domość, że jej dziecko jest tak uszkodzone. Zaraz zostało ono przewiezione do Centrum Zdrowia Dziecka. Czy przeżyło? Nie wiem. Kobieta mimo ta- kiego poniesionego poświęcenia i wysiłku, nie mogła się cieszyć z jego przyj- ścia na świat. W szpitalu przebywała jeszcze przez półtora miesiąca. Popadła w depresję, dwukrotnie targała się na swoje życie. Były też inne wady płodów np. bez czaszki, mózgu bez kończyn lub z rozszczepem kręgosłupa a także in- nymi zniekształceniami. Niektóre z nich umierały od razu inne po kilku go- dzinach lub dniach. Niektórzy rodzice takie dzieci zabierali do domów, inni zostawiali w szpitalu skąd trafiały do zakładów opiekuńczych. Przy obecnym stanie wiedzy medycznej i diagnostyce można byłoby stwierdzić na początku ciąży, w jakim stanie jest płód i nie dopuścić do niejednej tragedii. Dlate- go rozumiem kobiety, które w tak dramatycznych sytuacjach decydują się na usunięcie takiej ciąży. Nie każdy jest w stanie do takiego poświęcenia

i katorgi przez całe życie. Bo co zrobić z chorym psychicznie dzieckiem, które miało żyć najwyżej kilka lat, a żyje już ponad czterdzieści i wymaga od starszych i schorowanych rodziców ciągłej opieki, uwagi i obsługi, gdyż uszkodzony ma mózg i nigdy nie nauczy się nawet podstaw dbania o siebie. A co, gdy rodziców zabraknie, kto się zajmie nim, czeka go poniewierka po zakładach opieki i ciągle wycie w głos, bo zna tylko resztkami swojej nikłej percepcji twarz rodziców i wewnątrz domu i podwórko, z którego nigdy nie chciał się ruszać, bo był jak zwierzątko w obcym otoczeniu i przy obcych ludziach. Dzisiejsza wiedza medyczna i postępy w diagnostyce dają nam możliwość zdiagnozowania wczesnej ciąży oraz rozpoznania wad płodu w okresie prenatalnym i podjęcia decyzji, co do jej donoszenia lub usunięcia. Decyzje takie nie należą do łatwych. Są one często podyktowane ciężką chorobą matki, co zagraża jej życiu, rodzinnymi wadami genetycznymi, przemocą i patologiami w rodzinie, gwałtem. Takiej decyzji nie może podejmować, czy zmuszać do niej nikt inny poza kobietą i jej mężem. To oni biorą odpowiedzialność za wychowanie i danie godziwego życia mającej przyjść na świat istocie. To oni podejmują wysiłek i konsekwencje swoich decyzji, nie politycy, kapłani czy organizacje.

Jak ci się mieszka na naszym osiedlu, czy czegoś ci na nim brakuje, na przykład w handlu i usługach?

Osiedle stwarza przyjazne warunki dla ludzi starszych, można pospacerować, chociaż brakuje ławek, żeby czasem odsapnąć. Jest dużo zieleni, drzew i krzewów, ale za mało nasadzonych na wiosnę kwiatów. Potrzeby kulturalne i rozrywkowe, do czasów pandemii, bez problemu mogłam zaspokoić. A co do nowych usług to nie...

....może smażalnia ryb przydałaby się?

Osobiście za rybami nie przepadam, ale wiem, co znaczy smażyć rybę w domu. Dla smakoszy ryb taka smażalnia, to było by coś.

Dziękuję ci za rozmowę i przepraszam, że rozdrapałem blizny w twojej pamięci.

Barbara. Kobieta (babcia) wędrująca, czytająca i czekająca na zlecenie

Barbara Sikorska – (rocznik 1947), wdowa po Andrzeju (zm. 2016), z którym przez lata tworzyli nierozzerwalny duet turystów pieszych. Dwie córki i troje wnucząt. Ekonomistka (handel zagraniczny i ekonomika turystyki). Mieszkanka Wyżyn Centralnych od 1983 roku. Namiętna czytelniczka książek biograficznych. Działaczka PTTK, organizatorka cyklicznych wycieczek i rajdów pieszych, najczęściej na Mazowszu, ale nie mniej bywała w Polsce i świecie świadoma turystka.

Rozmawiamy 28. grudnia 2020 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Na Wyżynach mieszkasz od 1983 roku, niemal od początku powstawania osiedla. Czy pamiętasz, jak wtedy wyglądał krajobraz tutaj?

Do budynku dochodziliśmy po luźno ułożonych trylinkach, które chroniły nas przed wszechobecnym błotem. Krajobraz był budowlany, błoto i szpargały pobudowlane. Na południe od nas, aż po sam las ciągnęły się pola rolne. Powiem ci jeszcze, że w styczniu tego roku urodziła się młodsza córka i ja, w lecie, gdy było bardziej sucho, chodziłam z nią w wózku i ze starszą za rękę w kierunku Moczydła na spacer między polami zbóż, wszędzie łąny zboża i gdzieniegdzie kapusta. Do dzisiaj krajobraz zmienił się diametralnie, dzisiaj młodszym trudno jest to zobrazować... oni widzą wieżowce, a ja pod powiekami mam widok rozległych pól.

Czy z perspektywy dzisiejszej patrząc, twoim zdaniem, brakuje czegoś na osiedlu, coś chciałabyś zmienić? W usługach, w służbie zdrowia, w czymkolwiek?

Aha. Ja bym chciała, żeby była tężnia, taka jak na Ursynowie, na Jarach. Tamta jedna, to za mało, jak na nasze potrzeby.

A gdzie miałyby ona stanąć?

Myślę, że tam, gdzie powietrze jest najczystsze, w miejscu rekreacyjnym, gdzieś między Górką Kazurką a lasem. Nie wiem, kto miałby ją sfinansować, ale taką widzę potrzebę.

Porozmawiajmy o twojej pasji, o turystyce.

Dzięki turystyce poznałam mojego męża na jednej z wycieczek petetokowskich...

...zawsze mówiłem, że te wycieczki, to jak pielgrzymki...

...tak, tak, bo ludzie zjeżdżają ze wszystkich stron kraju, zawiązują się znajomości...

...i nikt nie wie, w którym krańcu Polski skończy...

...tak można powiedzieć. My skończyliśmy tu, bo oboje byliśmy z Warszawy. Mam wiele znajomych małżeństw, które swój początek zawdzięczają turystyce i trwają do dziś. Okoliczności turystyczne są dobre dla odkrywania się charakterów, tu nie ma miejsca na grę złudzeń, trzeba być sobą. Chcesz poznać charakter człowieka, to go zabierz na wyprawę, a na pewno okaże się, jaki jest, czy leniwy i krętacz, czy pomocny i wytrwały, zalety i słabości będzie widać jak na dłoni.

A jak ty, jako turystka, znosisz czas pandemii?

Lubię siedzieć w domu i nie przeszkadza mi, że mam siedzieć w tej swojej izolacji, ale... w pewnym momencie czuję szpilę, że chcę wyjść i wtedy nie ma mocnych... wkładam dobre buty do chodzenia i wymykam się do lasu, do Powsina, żeby tych naście kilometrów w nogach poczuć, bo wiesz, takie wyjście dookoła bloku to jest dla mnie zawracanie głowy.

No właśnie, bo ja ciebie i Andrzeja zawsze kojarzyłem z turystyką pieszą. Widziałem was jako dinozaury klasycznej turystyki. Zaczęliście uprawianie turystyki pieszej w czasach, kiedy dojechać gdziekolwiek, to był problem komunikacyjny, często jechało się w tłoku, na jednej nodze, a i nie wiadomo było co z noclegiem?

To prawda, komunikacja była fatalna, a co do noclegu... to były stodoły i ci wszyscy gospodarze byli chętni za piątaaka przemocować piechurów na sianie, bo mieli zaufanie, byli życzliwi. Nas turystów obowiązywał kodeks zachowania – żadnego palenia, żadnego hałasu, turysta był kulturalny. Byli też chętni dać bezpłatnie(!) mleko, woda ze studni do woli, a jak trzeba było, to ciepłą wodę dawali. To były inne czasy, nieporównywalne do dzisiejszych. Dzisiaj świat skomercjalizował się, życzliwość owszem, ale cenę swoją ma, dziś wszystko kosztuje i to nie mało. Wiesz, ja lubię raz do roku wyjechać na

jakaś zorganizowaną przez biuro wycieczkę, beztrzesko poczuć się tu czy tam, my (dinozaury) na objazdówkę, żeby coś zobaczyć, a młodzi (współcześni) all inclusive w Egipcie, Indiach itd., ale poza tym czekam na propozycje Komisji Turystyki Pieszej z oddziału PTTK Śródmieście (w którym działał Andrzej i ja też, do dzisiaj, chociaż oddział ledwie zipie, co zrobić, gdy średnia wieku członków jest wyższa od mojego wieku o kilka lat), bo lubię tych piechurów i te przejścia od – do w tym gronie, bo to jest moja druga rodzina. Turystyka spaja ludzi w grono, z którego mało kto odchodzi, chyba że na zawsze. Wraz z nami skończy się epoka surowego turystyzmu.

Którego najbliższym przykładem był Andrzej, piechur czystej krwi, że tak powiem. Zarówno nizinny, jak i górski. Ile on mnie „namęczył” tym chodzeniem, chodź jeszcze tu, i jeszcze tam coś trzeba zobaczyć, mówił i nie marnował okazji... ale ja go zawsze podziwiałem i tak naprawdę, to korzystałem z jego uporu i wytrwałości jako krajoznawca, dużo się przy nim nauczyłem. Jako turysta pieszy wyznawał prostą zasadę: dojechać do niezbędnego minimum i dalej na nogach, prawda?

Tak, wszystko per pedes, czasem przeładowany plecak trzeba było nieść, też na nogach, bo przecież wszędzie można dojść, ale nie żałuję tych dziesiątek, setek, zapewne tysięcy kilometrów z nim na szlakach. Przez 50(?) lat szliśmy razem przez życie i w krajobrazie.

Uprawialiście, jako piechurzy, tak zwaną turystykę kwalifikowaną, czyli w odpowiedni sposób potwierdzaliście przebyte kilometry na nizinach, podejścia i zejścia w górach, co w rezultacie przekładało się na zdobywanie odznak odpowiednich rodzajów turystyki. Dla większości osób zdobycie złotej odznaki małej, to jest cel na całe życie, odznaka złota duża jest dla turystów bardziej aktywnych, a dla tych najbardziej ambitnych jest powtórzenie tego cyklu i odznaka za wytrwałość, też stopniowana. Andrzej miał złotą za wytrwałość i dostał odznakę za koronę gór polskich. O innych okolicznościowych za udział, organizację itd. trudno nie wspomnieć, bo...

...bo jest tego kilka kilogramów w domu. Nie wiem, co z tym zrobić, o wyrzuceniu nie ma mowy, przecież to świadectwo jego dorobku na niwie turystyki. On to kochał, tym żył, każdy weekend to nowa wycieczka, na dłuż-

szą brał urlop, a na emeryturze to „fruwał” kiedy chciał. Na szczęście lubił też wracać do domu i cieszyć się rodziną. Kochał nas.

Andrzej odszedł i był bardzo honorowo pożegnany przez kolegów z PTTK. Oddali mu prawdziwy hołd, były sztandary, wzruszające przemówienia i gromada przyjaciół i znajomych. Byłaś wzruszona.

Byłam ogromnie wzruszona i zaskoczona, ponieważ to było jak pożegnanie kogoś znaczącego. A Andrzej był skromny, nie lubił zaszczytów, chociaż swoją wartość, jako turysty doświadczonego znał i nie robił z tego powodu nikomu żadnych wyrzutów. Lubiał dzielić się tym doświadczeniem, chociaż wiem, że ludzka głupota na szlaku nieraz go irytowała, wtedy podpowiadała: w co się ubrać, gdy wieje, gdy leje albo słońce praży, jakie tempo utrzymywać, żeby nie zasłabnąć i cały szereg innych porad starszego kolegi. On lubił i szanował ludzi.

Wiesz, mnie takie pożegnanie Andrzeja nie zaskoczyło. On miał po prostu uznanie w tym środowisku, był lubiany i niezawodny. Dlatego nie byłem zaskoczony, natomiast byłem dumny, że osobiście uczestniczę w takim wzniosłym pożegnaniu, że tak powiem džentelmena szlaku, z którym miałem zaszczyt wespół zdzierać podeszwy.

No właśnie, razem przecież często wyjeżdżaliście, a to na dzień, dwa, ale były też obozy?

Były obozy dla dzieci i młodzieży, na które ja – kierownik – zabierałem Andrzeja w charakterze przewodnika i organizatora – realizatora programu wycieczek pieszych. Między innymi byliśmy w Beskidzie Żywieckim na Hali Boraczej, na Słowacji w Bardejovie, w Pieninach w Szczawnicy. Andrzej był mi bardzo pomocny, jako opiekun nawet, chociaż tego nie mogłem od niego wymagać, bo opiekunowie to był inny personel, ale na Andrzeju mogłem zawsze polegać. Przygotowywał świetne wycieczki, każdą trasę dostosowywał do wieku i możliwości fizycznych dzieciaków, jestem mu za to ogromnie wdzięczny i, być może, dlatego tak bardzo, kiedy już słońce zachodziło, a dziećmi zajmowały się opiekunki, smakowało mi piwo w jego towarzystwie. I kawa co rano, którą parzył, a popijając ją, układaliśmy strategię wycieczek na dzień czy dwa naprzód. Poza tym

myślę, że Andrzej zarażał wszystkich optymizmem i zaszczepiał wiarę w własne możliwości. A ty jak to widzisz?

Rano, ósma rano, na stoliku kawa i mapy. Tu pójdziemy dzisiaj, tym szlakiem – mówi z uśmiechem na ustach. Nie, Andrzej, ja nie dam rady przejść – odpowiadam. On na to: dasz radę, będziemy odpoczywać, jak wrócimy, to zobaczysz, że było warto. No i poszliśmy. Jak mnie przegonił przez Prehybę to, gdy wróciliśmy, on w skowronkach, a ja padłam na łóżko, tak jak stałam i do rana spałam. Ale rano nie żałowałam. Gdyby nie jego optymizm, to byłabym uboższa o znajomość tego krajoznawczego rarytasu. Nie wywierał na mnie presji, żebym szła, tylko delikatnie i z radością w oczach mnie przekonywał, zachwalał trasę, obiecywał widoki, a ja wiedziałam, że gdybym nie dawała rady, to by się o mnie zatroszczył, bo mu ufałam, bo był przygotowany do każdej wycieczki i na każda ewentualność.

Pamiętam Andrzeja jako turystę trochę old school`owego. I nie chodzi mi tylko o ubiór spoza współczesnych salonów, zaopatrujących biegaczy i narciarzy w szykowne stroje, bardziej myślę o godziwej postawie społecznej, bo turysta to jest ktoś, kto zachowuje się, postępuje zgodnie ze wspomnianym wcześniej niepisanym kodeksem turysty.

Oczywiście, styl old school`owy jest dziś może zabawny, kto na szlaku widzi gościa ubranego jak Chałubiński, ale poza tym szczegółem, ten styl oparty jest na zasadach, które służą człowiekowi i chronią przyrodę, na zostawieniu porządku po sobie. Jak mówiłam, wielokrotnie nocowało się w stodole, nawet w nieodległych latach, ale nigdy nie można było pozostawić po sobie nieładu, a nawet, jak się kładło spać, to żeby innym nie przeszkadzało, należało ustawić plecak we właściwym miejscu, bo kto musiał wyjść za potrzebą w nocy, w ciemnościach, to wiedział, którądy jest bezpiecznie. Takie proste gesty: zbierz swoje brudy i śmieci, zorientuj się czy wszyscy dobrze się czują, czy nie są głodni, może komuś opatrunek na stopę trzeba założyć, a może zmienić wariant trasy, żeby wszyscy dali radę przejść. Życzliwość i troska to zwykle ludzkie odruchy, które dla Andrzeja miały znaczenie i dlatego był old school`owy. Współczesna szkoła turystyki? Nawet nie wiem, jaka ona jest, jeśli w ogóle jest. A wiesz, że Andrzej w domu nie był tak bardzo zorganizowa-

ny jak na wyjazdach, dom pozostawiał pod moją opieką. Ja wiedziałam, gdzie co leży, rzeczy czy papiery, ale on poza domem wzrokiem przenikał plecak i wiedział, czego i gdzie w nim szybko szukać, zawsze miał to, co potrzebne turyście na wycieczce. W domu lubił oddać się pod „matczyną” opiekę.

Większość facetów tak lubi, tak mi się wydaje. Natomiast pamiętam, że Andrzej poza domem, na wyjazdach, może nie każdemu, nie wiem, ale mnie matkował. Troszczył się o mnie, jak o brata młodszego. Kawka rano, herbata i herbatniki na szlaku. Dla dzieciaków też coś zawsze miał. Oj, miałem ja z niego wyrękę...

Też podziwiałam go za to przygotowanie się do wyjazdów. Nici, sól, cukier i co tylko potrzebne, zawsze znalazło się u Andrzeja w plecaku.

Czy dzisiaj na szlaku zdarzają się jeszcze tacy ludzie?

Tak w ogóle, uważam, że turystyka piesza zanika, więc i takie osoby też. Dzisiaj potrzebne jest zupełnie inne pole organizacyjne, inne potrzeby mają turyści na urloпах, jadą na przygotowane, sami się nie troszczą o nocleg, przejazd, program itd. To wszystko kupują w ofercie i dokupują to, co potrzebne lub nie, już na miejscu. Takie są teraz możliwości. A więc, taki dobry wujek, wybawca z kłopotów, z niespodziankami w plecaku, chyba nie jest oczekiwany, ale gdyby się trafił, to byłoby miło.

Porozmawiajmy teraz o tobie, jak się realizujesz na emeryturze?

Jestem babcią, czekającą na zlecenie. Za godzinę jadę odebrać wnuczkę z przedszkola.

Ale masz wolny czas dla siebie?

Oczywiście, że mam.

Jak go spędzasz?

Czytam, rozwiązuję sudoku, oglądam w telewizji programy historyczne, spotykam się ze znajomymi na pogaduszkach. Przed pandemią spotykałam się w klubie „Wrzos” z koleżankami. Raczej się nie nudzę.

A te programy w tv, co to za tematyka?

Kanały historyczne. Wczoraj oglądałam dokument o księciu Karolu, najdłużej oczekującym następcą na objęcie tronu. Lubię patrzeć na te wnętrza, miasta i parki, które są tłem dla narracji. Polecam serial o Medyceuszach.

Lubię też ofertę Discovery i Planete. To są programy, które albo mi coś przypomną, ale czegoś się nauczę.

Pamiętasz, co ostatnio przeczytałaś?

Ostatnio przeczytałam „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie” Frederica Martela, rzecz ostatnio nagłośniona przez przekręty, zakłamanie i pedofilię w kościele. Aktualnie czytam biografię „Marii Stuart”, nieszczęsnej królowej Szkotów.

Historia i biografie korelują z wiedzą ogólną krajoznawcy czy turysty kulturowego, przecież nierzadko celem dla nich jest być w miejscu historycznym i unaocznic faktografię. Co ty na to?

Tak, ta korelacja, to mój sposób poznawania kraju i świata, a poznawanie kraju, to jest budulec patriotyzmu. Wiedza o kraju, który się kocha jest więcej warta niż machanie sztandarami i wrzeszczenie o swojej racji, że mój patriotyzm jest lepszy niż twój.

Na koniec zapytam cię jeszcze o marzenia, czy masz jakieś związane z turystyką albo jakiegokolwiek. Podziel się nimi?

Ja bym chciała, żeby reaktywowała się taka prawdziwa turystyka, wymagająca wysiłku i obecności ciekawych ludzi, taka turystyka siermiężna nawet, bo to daje możliwość zawiązania przyjaźni na lata, które w moim przypadku trwają od roku 1965, kiedy zapisałam się do PTTK. W tym gronie spotykamy się co tydzień, mamy wspólne śledziki i jajeczka, to nas wiąże, ludzie sobie pomagają życzliwie, bezinteresownie. Turystyka kojarzy się z bliskością natury i chciałabym, żeby tak pozostało.

Już naprawdę na koniec, nie mogę tego pominąć. Lubisz być przy ognisku, czy lubisz tę atmosferę zwykle na koniec dnia lub zakończenia imprezy turystycznej?

Uwielbiam. Tu czuje się więzi, ożywają przyjaźnie stare, zawiązuje się nowe. Tego mi brakuje, tych serdeczności przy ognisku, piosenek ze szlaków, o Poloninach, o wędrowcach i księżycu. A jak wybornie smakowały nalewki, kiełbaski, ach... O tym właśnie też marzę.

Dziękuję ci za rozmowę, a wspomnienie Andrzeja było dla mnie bezcenne.

Marek. Inżynier z duszą humanisty

Marek Kaleński-Jaskiewicz. Rocznik 1943. Warszawiak z epizodem tułaczki po kraju. Żonaty, dwie córki, wnukowie. Inżynier mechanik, pasjonat fizyki, nawet kwantowej. Miłośnik teorii Einsteina i astrofizyka Hawkinga. Aktywny emeryt, uwielbia naturę. Wolny czas dzieli między wnuków, pracę wolontariusza w hospicjum im. św. Krzysztofa i zainteresowania, dużo chwil spędza nad książkami o tajemnicach tego świata i kosmosu, nieustannie wprawia się w malarstwie, a efektami swoich umiejętności dzieli się z nami, m.in. ilustrując felietony pisane dla redakcji „Życia Seniora” i „60 Okay”, których jest wieloletnim autorem. Jest mieszkańcem Wyżyn Zachodnich od roku 1989.

Z naszej wcześniejszej rozmowy w redakcji Marek zrobił to poniższe wspomnienie pisemne, chociaż miałem pomysł na wywiad, ale jemu ta forma wydała się mniej oficjalna, uznałem więc, niech tak zostanie. Tekst powstał 17. grudnia 2020 roku.

Moja „przygoda” z Wyżynami zaczęła się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy z rodziną oczekiwaliśmy na rozpoczęcie budowy bloku, w którym miało być nasze mieszkanie.

W tym czasie jeden z moich kolegów otrzymał mieszkanie na Ursynowie w okolicy skrzyżowania obecnej ulicy Witolda Pileckiego z ulicą Ciszewskiego i zaprosił mnie, aby je pokazać. Potem poszliśmy na spacer do miejsca, gdzie kolega uprawiał nielegalny ogródek działkowy i mnie też do tego namawiał. Ogródki powstały w okolicy obecnej Górki Kazurki, bo pamiętam w oddali widoczną ścianę Lasu Kabackiego. „Działkowicze” wynajmowali spychacz i przesuwali popękane betonowe płyty, robiąc sobie miejsce. Niektórzy nawet powiercili studnie, założyli ręczne pompy i zbudowali prowizoryczne altanki, bo rozeszła się pogłoska, że będzie można uzyskać prawo własności na zajęty skrawek ziemi. Na szczęście nie dałem się namówić.

Pracowałem wówczas jako konstruktor w Zakładzie Urządzeń Dźwigowych na ulicy Postępu, z którego nie pozostał obecnie nawet ślad, bo „wykosła” nas konkurencja w postaci firm Schindlera i Otisa. Firmy te założyły swoje siedziby blisko nas, przejmowały pracowników technicznych, obniżały

ceny swoich usług na przetargach, tak że nie mieliśmy szans na przetrwanie. Gdy my przestaliśmy istnieć, one też zniknęły z ulicy Postępu, bo konkurencja „zrobiła swoje” i mogła odejść. Chciałbym jeszcze dodać, że w czasie mojej pracy zawodowej posługiwałem się przeważnie: obliczeniem, rysunkiem, wykresem, tabelką...

Gdy wreszcie otrzymaliśmy pismo o lokalizacji naszego bloku oraz plan zagospodarowania terenu, sytuacja wyglądała pięknie również dlatego, że za górką miał powstać wielki obiekt sportowy z basenami, kortami do tenisa i innymi atrakcjami do rekreacji.

Gdy pojechałem przekonać się na własne oczy, zobaczyłem jedynie trzy piętra – ale już się buduje, rozpierała radość. Jechałem na Ursynów autobusem, który bez przerwy kręcił, omijał inne budowy, a do budynku dotarłem po błocie i ułożonych deskach. Ulica Stryjeńskich kończyła się przy kaplicy, zbudowanej z drewna w formie baraku, przy skrzyżowaniu z ulicą Belgradzką. Po kilku latach zaczęto budować kościół Ofiarowania Pańskiego. Pamiętam nocne dyżury, gdy pilnowaliśmy belek na strop, złożonych na wolnym powietrzu bez ogrodzenia aż do dnia, gdy zostały zamontowane na wysokości.

Gdy już się wprowadziliśmy i urządziliśmy, po kilku latach, zauważyłem, że za górką, na terenie planowanych obiektów sportowych, powstaje różowa willa, wyglądająca jak pryszcz na zdrowej skórze i, jak to z pryszczami bywa, szybko zaczęły pojawiać się nowe. Postawiony płot naprzeciw południowego zbocza górki przeszkadzał w bezpiecznym lądowaniu parolotniarzy, których wówczas przyciągało jedyne w okolicy wzniesienie. Dlaczego tak się stało? Nie chcę dociekać prawdy. Było, minęło, ale pozostało rozczarowanie, że z pięknych planów powstały jedynie urządzenia do ćwiczeń siłowych i ogrodzony wybieg dla psów.

Obecnie Ursynów, a z nim Wyżyny, kwitnie, zrobiło się ładnie i wygodnie, a gdy skończą się prace związane z obwodnicą, ma być jeszcze lepiej. W zasadzie w naszej dzielnicy jest wszystko: punkty usługowe, Ośrodek Zdrowia, Centrum Onkologii /gdzie, niestety, od niedawna mam swój PID/ i Nato-liński Ośrodek Kultury, w którym poznałem wielu ciekawych ludzi. Można było w Ośrodku rozwijać swoje potrzeby malarskie, doskonalić umiejętność

języka angielskiego, na sali gimnastycznej uprawiać ćwiczenia dla seniorów, a w moim przypadku stać się początkującym, redaktorem piszącym „Krótkie teksty o...” do „Życia Seniora” i do „60 Okay”. W wieku senioralnym wiele się nauczyłem, „odkryłem” duży urok w: malarstwie, słowie gładko pisanym, poezji. Wirus trochę zmienił sytuację, ale wierzę, że nie na stałe.

Górkę Kazurkę odwiedzam ze swoim młodszym wnuczkiem Jackiem, a ze starszym wnuczkiem Leonem chodziłem na spacery ulicą Moczydłowską z jej Aleją Lipową, oznakowaną tabliczkami Pomnik Przyrody. Może właśnie dlatego, będąc w drugiej klasie Leon napisał, ocenione na piątkę z minusem, wzruszające opowiadanie o drzewie, które uratował: *(zachowaliśmy pisownię oryginalną)*

„Był piękny, letni poranek i dlatego wybrałem się do parku. Szedłem właśnie po głównej alei i skręciłem w boczną ścieżkę. Była to alejka gdzie chodzi mało ludzi, więc pogрузyłem się w rozmyślaniach. Właśnie usłyszałem głos. Stój. Odwróciłem się i dostrzegłem drzewo z twarzą oplecioną z lian. Ponieważ drzewo całe pokryte było lianami, trudno było tą twarz zobaczyć. Drzewo poprosiło abym nadał mu imię. Po krótkim namyśle zgodziłem się, lecz zapytałem. Dlaczego akurat mnie o to prosisz?

Dlatego że ty masz oczy dookoła głowy. Kiedy pytałem innych, nie zwracali na mnie uwagi – odparło drzewo.

Wtedy zapytałem drzewa kim jest. Chciałem lepiej je poznać zanim nadam mu imię.

Jestem starym dębem, ale nikt mnie nie rozumie. Już 23 razy wycinali moich sąsiadów. Boję się, że będę następny.

Nie bój się. Nadam ci imię, które cię ochroni – odpowiedziałem drzewu. Nazwałem go „Pomnik Przyrody”. Dzięki temu wiedziałem, że będzie bezpieczne. Odszedłem od tego miejsca i obiecałem sobie, że będę tu wracać. Teraz mam 93 lata i nadal tam chodzę.”

Spotkałem się w wielu publikacjach, szczególnie tych napisanych przez ludzi, którzy ostatnio „obrazili” się na Polskę i wyjechali, że Polacy są nieżyczliwymi ponurakami w przeciwieństwie do np. Japończyków. Mam całkowicie odmienne zdanie. Polacy to ludzie życzliwi o spontanicznych osobowościach,

odważni, a co najważniejsze szczerzy. Nie przykrywają wszystkiego sztucznym, udanym uśmiechem. Mogą mówić pomiędzy sobą o swoich problemach i dlatego w potrzebie otrzymują wsparcie od przyjaciół. A samotność i opuszczenie w przypadku porażki jest niebezpieczne i nagminne właśnie w krajach dobrobytu, gdzie pokazanie smutnej twarzy jest źle widziane. „How are you? I’m fine, and you?” – należy pamiętać, wyjeżdżając poza nasz kraj,



Impresja autora: Staw z kaczkami za Górką Kazurką

twarze, mam świadomość, że wielu z nich poznałem w NOK na różnych zajęciach, doceniam jego działalność i jestem za to wdzięczny.

Marek Kaleński-Jaskiewicz

nawet mając nagniotka w bucie. Ja też jestem przeciwnikiem biadolenia, uważam, że należy „trzymać fason”, ale nie za wszelką cenę.

Mamy również cechy negatywne, z których chyba największe to wicherzycielstwo i zawziętość. Widzimy je w polityce, gdzie wzajemne uprzedzenia przybrały przeogromne rozmiary, ale w ten temat nie chcę wkraczać.

Chodząc, często zamysłony, ulicami Wyżyn, i w ogóle Ursynowa, spotykam wielu znajomych. Widząc ich uśmiechnięte (teraz „zamaskowane”)

Agnieszka i Szymon. Między Śląskiem a Warszawą

Rodzice 1,5 rocznej Marysi. Ona pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego, z Bielska-Białej, a on z Zabrza na Górnym Śląsku. Oboje są dziennikarzami-radiowcami. Ona budzi ludzi w rockowej audycji radiowej już od 6. rano, którą prowadzi i produkuje jednocześnie w jednej ze stacji w grupie Eska. On jest reporterem jednej z rozgłośni grupy fm, jest czujnym, codziennym obserwatorem wydarzeń – od polityki po społeczeństwo – zbiera materiały dla newsroom`ów redakcji, żeby wiadomości dla słuchaczy były aktualne i rzetelne. Zdarza mi się go widywać w relacjach telewizyjnych z sejmu, wówczas jest jednym z reporterów współtworzących gąszcz mikrofonów przed wypowiadającymi się politykami.

Rozmawialiśmy 3. stycznia 2021 roku w ich mieszkaniu na Wyżynach Zachodnich.

Czy znacie slonsko godke?

(S) Oczywiście, że znam. Jak jadę na Śląsk, to z wieloma kolegami po prostu się godo. W moim domu mówiliśmy zwyczajnie, w szkole też uczyliśmy się po polsku. Godają raczej rodziny górnicze, mieszkające zazwyczaj poza centrami miast. Ale godkę słyszy się wszędzie, choć faktycznie już coraz rzadziej. Myślę, że każdy Ślązak ją rozumie, ale nie każdy umie tak mówić. Gdy wracam ze Śląska do Warszawy, to potrzeba mi trochę czasu, żeby się przestawić zaś na gorolsko godka (*red. - znowu na warszawską mowę*).

(A) Ja nie znam, ale wiele rozumiem. Ja jestem z Podbeskidzia, czyli Pogórza Śląskiego, chociaż nie wiem, dlaczego tak właśnie jest nazwane, a tam słychać wpływy śląskie i beskidzkie, czyli gwarę góralską. W domu i w szkole mówiliśmy oczywiście literacką polszczyznę. Na pewno wymowa jest twardsza. W Warszawie miękko zaciągamy.

Co to znaczy kajś, a co znaczy karminadel?

(S) Kajś to znaczy: gdzieś, a karminadel to kotlet mielony.

(A) Szymon robi świetne te kotlety. Kuchnię śląską bardzo lubimy, roladę, kluski...

Czy odczuwacie mentalnie wpływ tradycji i kultury śląskiej, owej śląskości, w waszym życiu? Czy dotyczy was etos górniczy, czy niesiecie go w swojej tradycji rodzinnej?

(S) Od korzeni nie ucieknie się, ale to, co powyżej nie jest typowo śląskie. Ja należę do pokolenia Europejczyków, znam Polskę i świat, śląskość mnie nie przytłacza. Przeciwnie, jest cechą, którą warto eksponować, bo pokazuje, jaką drogę każdy z nas przeszedł, by dotrzeć np. do Warszawy i tutaj osiąść. Generalnie mówiąc, Ślązacy to ludzie twardzi, pracowici, honorowi, szanujący zasady i wartości. Jest hierarchia, domowe ognisko jako świętość i rodzina jako bardzo ważny element życia. Śląskość świetnie zobrazował Kazimierz Kutz w filmowej trylogii: „Perła w koronie”, „Sól ziemi czarnej” i „Paciorkach jednego różańca”. Ja śląskość, tak jak każdą inną w Polsce cechę regionalną, bardzo szanuję, ale jestem już przedstawicielem nowoczesnego pokolenia Ślązaków, patrzących dalej niż na szyby kopalni i hałdy węgla. Śląsk i miasta śląskie zmieniły się w ostatnich latach, wyrastają wieżowce, rozwija się infrastruktura. Jest coraz więcej zieleni wypierającej dawny kolor dominujący – czern. Zmieniła się struktura wykształcenia społeczeństwa i pożądaných profesji, zgodnie ze współczesną potrzebą rozwoju regionu i miast. Od dwóch pokoleń nikt z mojej rodziny nie jest związany z górnictwem ani z hutnictwem, ale rodzina jest zupełnie śląska, jesteśmy Ślązakami – choć moi dziadkowie na Śląsk przyjechali odpowiednio ze wschodu i zachodu kraju. Ale wrosliśmy w śląskość i jest ona dla nas tym, co mamy w sercach. Myślę, że przywiązanie do tradycji i obyczajowości, godka, umiłowanie piwa po szychcie, ulubione wychodzenie przed dom na ławki, nawet dawniej biesiadowanie, to jednak melodia przeszłości, bo świat w ciągu ostatnich lat znacznie przyspieszył, tak że tradycja zesłała nomen omen: pod ziemię. Ale po każdej szychcie – wyjeżdża, bez obaw!

(A) Ja Podbeskidzianka, na pewno nie tkwię w śląskości po uszy, ledwie się o nią ocieram. Patrzę na folklor śląski tak, jak na każdy inny. Widzę go w kategoriach tradycji, czyli kręgosłupa tożsamości społecznej. Od osiemnastu lat mieszkam w Warszawie lub w Europie i nie odczuwam na co dzień braku cech rodzinnego regionu. Oprócz horyzontu, czyli Beskidów. Co do

kultury śląskiej to ma ona swoich wybitnych przedstawicieli, wystarczy wspomnieć Kutza, Twardocha, Kuczoka, Kilara. Oczywiście nie można zapomnieć o NOSPR (red. - Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia), która koncertuje od USA po Japonię, od całej Europy po Australię. To jest marka światowa.

(S) Etos górniczy mogłem obserwować w swoim rodzinnym mieście, Zabrze. Ten element to ważny czynnik, który składa się nie tylko na historię miasta, ale na ludzi, którzy stamtąd pochodzą. To nic innego jak szacunek do ciężkiej pracy i wartości, które dotyczą tradycji górnictwa. Doceniam trud tej ciężkiej pracy i budowany na niej etos. Chociaż niedługo stanie się wspomnieniem, historią, wraz z zamknięciem ostatniej kopalni.

Jak to się stało, że zamieszkaliście w Warszawie? Ile to już lat? Co wam się w Warszawie podoba?

(A) Ja byłem tu pierwsza. Przyjechałam do Warszawy na studia osiemnaście lat temu. Czyli w Warszawie mieszkam dłużej niż w rodzinnym mieście. Zostałam tutaj na stałe ze względu na pracę, ale i siostrę, która warszawskie szlaki przetała w rodzinie jako pierwsza.

(S) Ja mieszkałem w Zabrzu, Katowicach, potem w Krakowie i stamtąd trafiłem do Warszawy. Poznaliśmy się w Krakowie. Filmowa historia. Jeździliśmy do siebie przez ponad rok. Każdy weekend któreś z nas spędzało w pociągu. W końcu się przeprowadziłem. Nie byłem przekonany do Warszawy przez gnające stereotypy na temat stolicy, ale zmieniłem zdanie po kilku dniach na Ursynowie. Agnieszka pokazała mi to, czym jest Ursynów od podszewki, to że domy budowane są tak, by tworzyć małe wspólnoty, że dawniej wszędzie było pole i że ludzie tutaj się po prostu znają i lubią. Oprócz tego nasze najbliższe otoczenie jest takie, że gdyby nie praca, rodzina czy wakacje, moglibyśmy stąd nie wyjeżdżać, bo wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Idealne miejsce dla rodziny. No i się udało.

Czy po wyjściu z pracy słuchacie audycji swoich rozgłośni w domu?

(S) Tylko w celach zawodowych. Trzeba zachować równowagę między pracą a życiem zwykłego słuchacza radia. Ja za to słucham rozgłośni Agnieszki, bo bardzo ją lubię. Raz, że muzyka, a dwa, że to świetnie robiona radiowa robotka.

(A) Nie, nie, ja słyszę zupełnie coś innego niż zwykły słuchacz.

(S) Słyszysz się inne dźwięki, słyszysz się błędy, szmery, rzeczy, których normalny słuchacz nie wychwyci, bo nie zwraca na nie uwagi.

Co sądzicie o sytuacji państwowych rozgłośni?

(A) Największą tragedią było „zajechanie” dwójki. To była stacja, która była kwintesencją misji Polskiego Radia. Najsmutniejsze jest to, że to już *se ne vrati*. Autorytety niszczy się łatwo, nie da się tego ot tak odbudować.

Jakiej muzyki słuchacie prywatnie poza radiem, poza miejscem waszej pracy?

(A) Szymon słucha odkurzaczy i lodówek. (*śmiech obojga*)

(S) Ja jestem chyba trochę wychowany na tym, dlatego że mnie jest bardzo blisko do muzyki techno. Bo to jest muzyka mojego pokolenia, gdy miałem lat 15-20, wtedy to było normalne. Na Śląsku wówczas działało radio Planeta, to było chyba jedyne radio, które przez cały czas grało techno. No i oprócz zetki i rmfu słuchaliśmy tego radia, ja i moi koledzy. Jeździliśmy na dyskoteki, a takich w aglomeracji na Śląsku dawniej było kilkanaście, na których takie właśnie rytmy były grane. Ale z drugiej strony my oboje, z domu, jesteśmy wychowani na muzyce rockowej, na muzyce Queen, AC/DC i Led Zeppelin, dlatego że tego słuchali nasi rodzice. Jeśli Marysia pójdzie w nasze ślady i będzie słuchać tego, czego my słuchamy, a chyba nie będzie miała wyboru, to będzie miała blisko do tego, żeby sobie nucić Freddiego Mercurego.

(A) Ja jestem wychowana na rocku, pierwszym zespołem, jaki usłyszałam, był Queen. Wiesz, od zawsze słucham rocka i to jest spełnienie moich marzeń, że pracujesz w stacji, którą lubisz, bo oprócz tego, że ja budzę ludzi, to im jeszcze o tej muzyce trochę opowiadam na poziomie emocji związanych z moimi wspomnieniami. Tak więc muzyka w pracy po części pokrywa się z tą słuchaną przeze mnie w domu czy na ulicy ze smartfona.

(S) A muzyka chóralna?

(A) No tak, dwadzieścia lat śpiewałam w chórze akademickim, wcześniej w kapeli góralskiej i w zespole Pieśni i Tańca „Beskid”. Teraz skupiam się na kołysankach.

Patrzą na wasz księgozbiór. Co ostatnio przeczytaliście?

(A) Książki dla dzieci. Seria „Pucio”, bardzo lubimy „Pana Maluškiewicza i Wieloryba”, ulubioną książkę Marysi, jest też „Kicia Kocia”. To bardzo dobre, interesujące książki dla dzieci. A z literatury poważniejszej ostatnio przeczytałam Nosowskiej „Powrót z Bambuko”, bo przygotowywałam się do wywiadu z nią. To jest bardzo szczerą i odważną w swojej szczeroci książka, w której rozlicza się ze swoim dzieciństwem, niczego nie kryje.

(S) Nasze rodzicielstwo warunkuje lektury. Poznawanie książek z dzieckiem, to jest przyjemna przygoda. Ale jak spojrzysz na górną półkę, to zobaczysz kolekcję powieści Iana Fleminga, autora „Bondów”.

A więc, literatura sensacyjna?

(S) Oczywiście, ulubiona. Do mojej kolekcji dołączyło brytyjskie wydanie „Cassino Royale” wyszukane gdzieś w brukselskim antykwariacie. Traktuję tę książkę sentymalnie, jakby na mnie tam czekała.

(A) A ja najbardziej lubię „Przeminęło z wiatrem”. Mam brytyjskie wydanie z 1946 roku. Także traktuję ją sentymalnie.

Kiedy ostatni byłeś na meczu Górnika Zabrze?

(S) Oj, dawno. Kiedyś, jak do Zabrza przyjeżdżała „Legia” albo „Wisła”, a nawet „Ruch”, to policja zamykała miasto. Było gorąco, ponieważ antagonizmy między kibicami były zawsze silne i dochodziło do awantur i niszczenia mienia. Kibiców dowożono do stadionu specjalnie na ten dzień przygotowanymi do wyjazdu autobusami tak starymi, że nie było ich żal po demolkach kiboli, którzy w drodze na mecz głośno śpiewali różne przyśpiewki śląskie i piosenki obraźliwe dla przeciwników. Ale zawsze był też szacunek, nie ma szans, żeby starsza osoba nie znalazła w takim autobusie wolnego miejsca. Obok kibiców, ale atmosfera rodzinna.

A propos śpiewania, znasz śląskie szlagiery?

(S) Moja babcia zna, słucha ich, ja niestety nie, bo dla mnie są one, jak to ostatnio się mówi, „dziaderskie”. Jednak kilka śląskich melodii, na przykład „Poszła Karolinka do Gogolina” czy tak zwane biesiady, zapewne bym umiał zaśpiewać, to tylko kwestia przypomnienia sobie słów.

Szlagiery zostawmy starszym, ale innym charakterystycznym gatunkiem muzycznym dla młodszych Ślązaków jest jego wersja bluesowa.

Mówi się o śląskim bluesie i o kulcie Ryśka Riedla. Wszyscy w Polsce znają festiwal „Rawa Blues”. Czy w was też „siedzi” blues?

(S) Żadne z nas na Rawie nigdy nie było, ale faktycznie to duże wydarzenie kulturalne w regionie. Sygnał zaśpiewać potrafi chyba każdy. Podobne jest z Dzemem – choć mieliśmy styczność raczej w słuchawkach i na płytach, to piosenki Riedla znamy na pamięć. Faktycznie jest tak, że katowicki spodek to jest ważne miejsce – to tam odbywa się Rawa i trudno nie zgodzić się, że tłumy ludzi, które idą do Spodka na jakikolwiek koncert to bijące serce śląskiej kultury. To magiczne miejsce, choć jak wiemy gra tam nie tylko muzyka – ale też wielki sport. Mecze Ligi Światowej polskich siatkarzy to wielki kawałek historii tego miejsca, w której mogliśmy uczestniczyć.

(A) Jako bielszczanka muszę osobiście dodać jeszcze jeden ważny festiwal. Blues należy do Katowic, a jazz do Bielska, z Bielską Zadymką Jazzową. I tak jak dla Śląska najważniejszy był Riedel i genialni bracia Skrzek, to dla nas Zadymka oraz Maria Koterbska. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić Bielsko bez niej.

Na koniec zapytam jeszcze: czy chcielibyście na naszym osiedlu coś zmienić, czy czegoś wam tu brakuje?

(A) Zdecydowanie brakuje bankomatu. Musimy biegać w kierunku metra, żeby pobrać gotówkę, o dziwo nie wszędzie można płacić kartą, na przykład w barku na Żabińskiego, gdzie lubimy jeść.

(S) Ja mam nadzieję, że już więcej na osiedlu nie pojawi się ten gość z dmuchawą i nie będzie liści zdmuchiwał pod wiatr. Hałas przy tym jest trudny do zniesienia, wzniesany jest pył, śmierdzi spalinami, albo to koszenie wyschniętych trawników, kurz, spaliny w powietrzu, a deszczówka spływa po gołej ziemi do kanalizacji zamiast zostać na trawniku. Gdzie tu jest ekologia?

(A) Poza tym, mam nadzieję, że obwodnica nie wpłynie katastrofalnie na warunki naszego zamieszkiwania.

Dziękuję wam bardzo za interesującą rozmowę.

Helena

Helena Laskowska – rocznik 1944. Absolwentka Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Dziennikarka, redaktorka współpracująca z pismami o tematyce kobiecej, rodzinnej i zdrowotnej. Miłośniczka muzyki poważnej. Stała bywalczyni teatrów warszawskich, spektakli operowych i baletowych. Wytrwała czytelniczka każdej dobrej literatury. Niepoprawna optymistka z poczuciem humoru, otwarta na kontakty z ludźmi. (Helena o sobie)

(ja o Helenie) Z Heleną bardzo lubię rozmawiać o życiu codziennym na tle wydarzeń społecznych i politycznych. Nie omijamy nigdy tematów o literaturze, gdyż nasze gusta czytelnicze, z pozoru tylko odmienne, są niezwykle zazębione. Polecamy sobie tytuły, autorów i dyskutujemy. Helena jest dla mnie jak „wiadomości kulturalne”, tyle tylko że są one pozamedialne. Zdobywa je na przykład, na festiwalach muzycznych czy teatralnych, które uwielbia, na które czeka z roku na rok. W roku 2020, z powodu pandemii była wielce niepokieszona, a być może i w tym, czeka ją rozczarowanie. Na szczęście książki ukazują się normalnie, więc głód lektury można zaspokoić. Niekiedy w jej opowieściach o nowych wydarzeniach kulturalnych wyczuwam jakby nutę lekkiej egzaltacji, lecz proszę mi wierzyć, że jest to tylko kobieca radość z odniesionego sukcesu: że starczyło na bilet i, że w ogóle udało się go dostać, że inscenizacja była wspaniała, że solista, kwartet albo orkiestra zagrali rewelacyjnie, że balet włącza do środków wyrazu nowe elementy ruchu spoza uznanych schematów mistrzowskich, ale jednak schematów znanych z największych interpretacji w skali światowej. Dla fanki dramatów scenicznych i koncertów filharmonicznych, każde mistrzowskie inscenizacje i wykonania oddziałują na zmysły niczym narkotyki, dlatego są czystą radością, czasem podniesioną do wysokiego C, które osiąga się wyrobieniem, nie egzaltacją. Egzaltowanie się jest dla wchodzących dopiero w krąg odbiorców dzieł, którym patronują greckie Muzy z właściwymi atrybutami.

Helena jest skromna, w swoim tekście zamieszczonym poniżej zaledwie wspomina o współpracy redakcyjnej, dlatego ja – redaktor naczelny, mając okazję publiczną chęć powiedzieć, że bez jej udziału gazety „Życie Seniora” i „60 Okay” tworzone przez ursynowskich seniorów nie byłyby taką samą publikacją.

Muszę także docenić, ba, uznać za niezbędną dla projektu „My z Wyżyn” jej obecność w pracach redakcji i dzieleniu się swoim doświadczeniem zawodowym. Wielkie dzięki Redaktorko!

Tekst napisany 15. stycznia 2021 r., z wykorzystaniem tekstów publikowanych w „Życie Seniora”.

(Natolin – miłość od pierwszego wejrzenia)

Zima 2004 roku. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Natolin. Na Ursynowie bywałam wcześniej, bo tu mieszkali moi znajomi. Ale Natolin odkryłam, gdy zaczęłam załatwiać formalności związane z kupnem mieszkania. Już wówczas spodobała mi się zabudowa, na ogół niezbyt wysoka. Wtedy jednak Natolin nie odkrył mi jeszcze wszystkich swoich uroków. To dopiero czekało mnie, gdy na wiosnę wprowadziłam się do swojego mieszkania...

Całe wcześniejsze życie mieszkałam w Śródmieściu. Losy mojej rodziny są jednak ściśle związane z inną bardzo warszawską dzielnicą, z Powiślem. Tam, w kościele św. Teresy przy ul. Tamka w 1939 r. wzięli ślub moi rodzice i zamieszkali w domu kilka przecznic dalej, przy ul. Solec 58. Mimo tragizmu wojny i okupacyjnej rzeczywistości przeżywali pierwsze radości związane z narodzinami i wychowywaniem pierworodnego syna. Z narodzinami mojego brata wiąże się zresztą zabawna anegdota. Mój ojciec, w przeciwieństwie do większości panów, pragnął narodzin córki. Gdy po przewiezieniu żony do szpitala następnego dnia zadzwonił na porodówkę, by się dowiedzieć, czy już nastąpiło rozwiązanie, pielęgniarka go poinformowała:

- Żona urodziła syna, może się pan czuć szczęśliwy. – To jakaś pomyłka – odpowiedział ojciec. – Moja żona miała urodzić córkę. Proszę jeszcze raz sprawdzić.

Gdy urodziła mu się córka, nie było go przy tym. Na niedługo przed wybuchem powstania warszawskiego został zatrzymany w jednej z ulicznych łapanek i wywieziony do pracy w kamieniołomach w Rzeszy. Mama z czteroletnim synem i w zaawansowanej ciąży została sama. Tak doczekała 1 sierpnia. Pierwsze walki powstańców, Powiśle coraz bardziej ogarnięte

ogniem. Ludność cywilna skazana na siebie. Tylko dzięki ofiarności sąsiadów, wzajemnej pomocy można było jakoś przeżyć. 11 sierpnia, w czasie największych walk, rodzącą kobietę ułożono w piwnicy na prowizorycznym pośłaniu.

Na Solcu wciąż powstańcze piekło. Bomba trafia w kamienicę, gdzie moja mama rodzi mnie. Natychmiast akcję odkopywania gruzów organizuje porucznik Zbyszek, który w niedługim czasie sam ginie. Ale jego pamięć żyje w mojej rodzinie do dziś, mimo że moi rodzice od wielu lat już razem z nim przechadzają się po pastwiskach niebieskich. Bo to on odnalazł i przyprowadził do zbombardowanego domu akuszerkę. Dzięki nim, bohaterskim powstańcom, moja matka i ja przeżyliśmy. I dzięki sąsiadom. To oni wspierali młodą matkę z dwójką dzieci, pomagali przetrwać, a potem wspólnie znieść koszmar wypędzenia z miasta i długiej wędrówki do podwarszawskiej miejscowości, gdzie znaleźli schronienie do końca wojny. A potem odnalezienie ojca, próba ułożenia sobie życia z dala od zburzonego miasta w Płocku i powrót w 1947 roku do Warszawy, na ukochane Powiśle.

Na Solcu nie było jednak już ich domu, więc kilka ulic dalej, na Kopernika, własnymi siłami wyremontowali mieszkanie i założyli nowe gniazdo. Ale troje dzieci, bo najmłodsze urodziło się kilka lat po wojnie, nauki pobierało na Powiślu, w szkole na ul. Drewnianej. A gdy wchodziłam już w dorosłe życie, studia rozpoczęłam na Uniwersytecie Warszawskim, uczelni, którą kojarzy się ze Śródmieściem. Warto jednak przypomnieć, że okazały Pałac Kazimierzowski i mój ukochany gmach Polonistyki z wdziękiem opierają się o skarpe, schodzącą na powiślański park.

Czasy studenckie pracowicie i wesoło spędzałam na Uniwersytecie Warszawskim. Życie zawodowe też było związane z centrum miasta. Gwar, hałas, tempo... To mi odpowiadało. Wszędzie miałam blisko: miejsca pracy, kina, teatry, restauracje.

Aż przyszła jesień życia, trzeba było zwolnić tempo. Kręgosłup dokuczał, gdy kilka razy dziennie należało pokonać sto dwadzieścia stopni schodów, żeby dotrzeć do mieszkania na czwartym piętrze, bo stara kamienica nie miała windy. Czas pomyśleć o zmianie miejsca zamieszkania.

I tak trafiłam do Natolina. Od kwietnia 2004 roku stałam się mieszkanką Osiedla Wyżyny. I zakochałam się w swoim osiedlu. Niskie budynki otoczone urokliwymi ogródkami. Bardzo wymyślnymi, z małymi fontannami, ogródkami skalnymi, kolorowymi kwiatami. I przede wszystkim Sadek. To on na wiosnę owego roku „powalił mnie na kolana”. Pewnego ranka w maju idąc do stacji metra oniemiałam z zachwytu. Szłam aleją po obu stronach otoczoną kwitnącymi jabłoniami. Nagle przeniosłam się do świata z lektury „Ani z Zielonego Wzgórza”. To jak z kart tej książki Aleja Zakochanych z obasypanymi kwiatami drzewami, przypominającymi panny młode. Zieleń, biel z delikatnymi różowymi akcentami i ten zapach.

I tak bez ostrzeżenia, w środku miasta dopadła mnie wiosna. Dotychczas o zmianie pór roku głównie „informowała” mnie temperatura, krótsze lub dłuższe dni, szarugi jesienne, opady deszczu lub śniegu. Ale kolory drzew i krzewów w zależności od pory roku w moim poprzednim wcieleniu gdzieś mi umykały. Wiadomo, centrum to kamienna pustynia. Od czasu do czasu robiłam jakieś wypadki na łono przyrody, niekiedy, gdy starczyło czasu, pospacerowałam po Łazienkach lub Ogrodzie Saskim i to wszystko. A teraz... proszę bardzo: wiosna, lato, jesień, zima jest tuż obok mnie. Sadek, Aleja Kasztanowa, Las Kabacki. Bujna, soczysta zieleń wiosną, feeria kolorów i zapachów latem, żółć, brąz i czerwień liści jesienią, zimą czysta biel śniegu między drzewami w Sadku.

Natolin urzeka. Zachwyca mnie wszystko. Ludzie, architektura, infrastruktura. Tuż za miedzą, po drugiej stronie ulicy Przy Bażantarni, są Kabaty. Chętnie przechadzam się po tamtejszych uliczkach, często przypominających urokliwe uliczki małych miast włoskich. To prawda, że domy są ładne, ale zabudowa jest bardzo ciasna. Chyba nie chciałabym tam mieszkać. Wciąż miałabym wrażenie, że sąsiedzi z budynków po drugiej stronie ulicy zagląдают do moich okien. Brrrr... A Natolin ma oddech. I spokój. Czasami wydaje mi się, że mieszkam na wsi, gdzie niekiedy przejedzie jakiś samochód. W moim poprzednim życiu okna z mojego pokoju wychodziły na Tamkę. Nieustający szum samochodów, smród spalin i w dzień, i w nocy. Wówczas mi to nie przeszkadzało. A teraz... lubię pojechać sobie na Nowy Świat, Krakowskie

Przedmieście, obejrzeć wystawy, wypić kawę w którejś z licznych kawiarenek. I wrócić do siebie, do swojego domu. Gdy wiele lat temu przeprowadzałam się do nowego mieszkania, mój redakcyjny kolega martwił się, jak ja sobie poradzę, przecież to jak wyrwanie drzewa z korzeniami. A po tygodniu nie mógł się nadziwić, że na pytanie, jak sobie radzę na nowym miejscu, odpowiedziałam: znakomicie, tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi. Bo to już tak jest. W różnych okresach naszego życia czego innego od niego oczekujemy. W młodości, dojrzałym okresie pęd nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, to nam daje napęd do osiągnięcia coraz to większych sukcesów. Ale gdy aktywność zawodowa się zmniejsza, dzieci już tak bardzo nas nie potrzebują, cenimy sobie spokój i wyciszenie. I umiemy docenić piękno wokół nas i naszego najbliższego otoczenia.

Ja jeszcze miałam do tego szczęścia spotkać ciekawych ludzi. Tu nawiązałam nowe znajomości i zawiązałam serdeczne przyjaźnie. Mogłam też wykorzystywać swoje dziennikarskie i redaktorskie doświadczenie we współpracy z pismami wydawanymi przy Natolińskim Ośrodku Kultury. Tu czuję się u siebie, gdy robię zakupy, spotykam znajomych z naszego Klubu „Wrzos”, sąsiadów, z przyjaciółmi spotykam się w ulubionej kawiarni „Le petit café”. Tak, z pełnym przekonaniem mogę powtórzyć: tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi.

